



Zielone idee
i siły polityczne
w Polsce



Polski odcień zieleni

HEINRICH
BÖLL
STIFTUNG
WARSZAWA

GEF
GREEN EUROPEAN
FOUNDATION



Zielone idee
i siły polityczne
w Polsce

Pod redakcją

Przemysława Sadury

Polski odcień zieleni

 HEINRICH
BÖLL
STIFTUNG
WARSZAWA


GREEN EUROPEAN
FOUNDATION

Redakcja: **Przemysław Sadura**

Korekta: **Agnieszka Weseli, Małgorzata Kopka**

Koordynatorka projektu: **Katarzyna Radzikowska**

Projekt graficzny: **Studio 27**

Projekt realizowany przez Green European Foundation
przy wsparciu Fundacji im. Heinricha Bölla Przedstawicielstwo w Polsce
Warszawa, grudzień 2008

Realizacja tego projektu była możliwa dzięki środkom finansowym
z Parlamentu Europejskiego. Parlament Europejski nie odpowiada
za zawartość projektu.

Treści zawarte w tej publikacji odzwierciedlają wyłącznie opinie ich autorów
i nie muszą odzwierciedlać poglądów Fundacji im. Heinricha Bölla

Copyright by Fundacja im. Heinricha Bölla Przedstawicielstwo w Polsce
„Między Wschodem i Zachodem” copyright by Adam Ostolski
Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-61340-00-3

Zamówienia prosimy kierować na adres:

Fundacja im. Heinricha Bölla

ul. Żurawia 45, III p.

00-680 Warszawa

Tel.: +48 22 59 42 333

e-mail: hbs@boell.pl

<http://www.boell.pl>

Spis treści

Agnieszka Rochon	
Wstęp	5
Przemysław Sadura, Agnieszka Kwiatkowska	
1. Zielona polityka w społeczeństwie postpolitycznym	9
Adam Ostolski	
2. Między Wschodem i Zachodem	21
Ewa Charkiewicz	
3. Zielony finał PRL-u	35
Agnieszka Grzybek, Dariusz Szwed	
4. Zieloni 2004 – długi marsz w paru odśłonach	49
Maciej Gdula	
5. Granice zielonej polityki	63
Edwin Bendyk	
6. Zielona modernizacja	75
Wywiad z Agnieszką Graff	
7. Nie zwalniamy państwa z odpowiedzialności	87
Wywiad z Jackiem Żakowskim	
8. Zieloni bez ekologii?	97

Wstęp

W Europie Zachodniej zielone partie są stałym elementem sceny politycznej, zarówno we własnych krajach, jak i w Unii Europejskiej. Z partii protestu i opozycji pozaparlamentarnej weszły w struktury mainstreamu, przejmując często odpowiedzialność za współrządzenie. Ich początki związane są z wydarzeniami roku 1968 oraz falą nowych ruchów społecznych, które narodziły się w konsekwencji rewolty '68. Dla krajów ówczesnego bloku socjalistycznego rok 1968 pozbawiony był tego wymiaru. Zielone partie zaczęły powstawać dużo później i w odmiennej rzeczywistości politycznej – w klimacie transformacji demokratycznej, zapoczątkowanej w 1989 roku.

„Nowym” krajom członkowskim UE przypisuje się pewną wspólnotę doświadczeń, nazywaną „syndromem postkomunistycznym”, którym chętnie tłumaczy się słabość zielonych sił politycznych w państwach „Nowej Unii”. Jednocześnie zaś, patrząc obecnie na rezultaty działań Zielonych w „nowych” krajach Unii, coraz trudniej jest znaleźć wspólny mianownik: w nielicznych krajach postkomunistycznych Zielonym udało się wejść do krajowych parlamentów, a nawet w struktury władzy (Czechy, Estonia), w innych - takich jak Polska – Zieloni nadal szukają swojego miejsca.

W Polsce po 20 latach transformacji demokratycznej sytuacja zielonych sił politycznych nie jest jednoznaczna. Od kilku lat widoczny jest trend związany z przyjmowaniem się w społecznej świadomości poglądów ekologicznych, wolnościowych i równościowych oraz wzrostem obecności niektórych zielonych postulatów w mediach i dyskursie politycznym. Wydaje się więc, że zapotrzebowanie na zieloną politykę wzrasta. Nie jest to jednak równoznaczne ze wzrostem popularności dla zielonych ruchów i inicjatyw czy też wzrostem poparcia dla istniejących zielonych sił politycznych. Jedyna obecnie aktywna w Polsce zielona partia, Zieloni 2004, jest niemal nieobecna w debacie publicznej, świadomości polskiej opinii publicznej i wyborczych preferencjach. W analizie polskiej sceny politycznej po 1989 brak ogólnodostępnych informacji dotyczących rozwoju zielonych ruchów i inicjatyw, zarówno aktualnych, jak i w ostatnich 20 latach.

Publikacja nasza, poświęcona historii i teraźniejszości zielonych ruchów i inicjatyw, które powstały w Polsce po roku 1989, wypełnia tę lukę i próbuje znaleźć odpowiedź na pytanie o przyszłość zielonej polityki. Punktem wyjścia dla publikacji są, przeprowadzone w roku 2008 na zlecenie Fundacji im. Heinricha Bölla przez socjologa Przemysława Sadurę, badania na temat aktualnej recepcji zielonych idei i postrzegania zielonych sił politycznych w polskim społeczeństwie oraz dokonana na tym tle analiza szans Zielonych na znalezienie stałego miejsca na polskiej scenie politycznej.

Przedstawione w publikacji wyniki badań zostały osadzone w szerszym kontekście historycznym i przestrzennym. Publikacja jest więc zarówno spojrzeniem z zielonej perspektywy wstecz, na 20 lat demokratycznej transformacji, jak i „zapisem chwili”, stenogramem aktualnej publicznej dyskusji o zielonych inicjatywach i siłach politycznych w kontekście polskim i europejskim. Do grona autorek i autorów zaproszeni zostali socjologowie, politolodzy i dziennikarze, zarówno z kręgu polskich Zielonych 2004, jak i niezwiązani z Zielonymi obserwatorzy polskiej sceny politycznej. Dlatego też w publikacji udało się ukazać wiele „odcieni” zieloności i wiele sposobów postrzegania zielonych idei i postulatów oraz interpretowania ich znaczenia dla modernizacji polskiej i europejskiej polityki.

Obok refleksji Ewy Charkiewicz na temat rozwoju zielonych sił politycznych i bliskich Zielonym ruchów społecznych, w publikacji znaleźć można tekst Adama Ostolskiego, analizujący przyczyny różnic i podobieństw zielonych partii ze Wschodu i Zachodu Europy, oraz artykuły przedstawiające rozwiązania zielonej polityki w odniesieniu do bieżących problemów i wydarzeń polskiej politycznej i gospodarczej rzeczywistości, jak choćby tekst Macieja Gduli skupiający się na lokalnym i globalnym wymiarze zieloności, czy też rozważania o zielonej modernizacji autorstwa Edwina Bendyka. Wizerunek własny Zielonych 2004, ich aktualną sytuację i perspektywę rozwoju nakreślili współprzewodniczący, Agnieszka Grzybek i Dariusz Szwed, zaś Agnieszka Graff i Jacek Żakowski w udzielonych na potrzeby publikacji wywiadach skupiają się na przyczynach niewielkiej aktualnie popularności polskich Zielonych i ich szansach na zaistnienie na polskiej scenie politycznej w przyszłości.

Pytanie, czy istnieje zapotrzebowanie na zieloną politykę oraz czy zielone siły polityczne mają szansę na wejście do polityki mainstreamu, jest elementem łączącym rozważania wszystkich autorek i autorów. Odpowiedzi utrzymane w tonie ostrożnie optymistycznym określają bariery, jakie zielonej polityce stawiają obecnie zarówno rozwój sytuacji społeczno-politycznej w Polsce, jak i rozwój

samych polskich Zielonych, wskazując przy tym na możliwości ich pokonania. W tym kontekście teksty zamieszczone w publikacji są przyczynkiem do kontynuowania i pogłębiania dyskusji o znaczeniu zielonej polityki dla modernizacji Polski w przyszłości – dyskusji, którą mamy nadzieję wydaniem niniejszej publikacji zapoczątkować.

Agnieszka Rochon

Dyrektorka Przedstawicielstwa
Fundacji im. Heinricha Bölla w Polsce

Warszawa, grudzień 2008

1.

Zielona polityka w społeczeństwie postpolitycznym

Przemysław Sadura

Agnieszka Kwiatkowska

W ciągu ostatnich 25 lat w krajach starej, a po 1989 roku także nowej Europy partie Zielonych wywalczyły sobie mocną pozycję. Zasiadają w parlamentach, włączają się we współrządzenie, mają silną reprezentację w Parlamencie Europejskim i przedstawiciele w samorządach największych miast kontynentu. Polska, jak dotąd, stanowi czarną dziurę na zielonej mapie Europy. Badania przeprowadzone w 2008 roku przez Fundację im. Heinricha Bölla przy współpracy z agencją badawczą ARC Rynek i Opinia miały pokazać społeczny odbiór „zielonych postulatów i idei” oraz wyjaśnić przyczyny słabej kondycji zielonych ruchów w Polsce. Celem było więc wyznaczenie zakresu postaw politycznych zgodnych z zielonym programem, a następnie opisanie najważniejszych aktorów, realizujących ten program. Okazało się, że żadna z zielonych organizacji pozarządowych i ruchów społecznych nie może liczyć w opinii badanych na miano aktora politycznego. Wśród partii politycznych pojawiają się podmioty postrzegane jako „ekologiczne”, choć nie mają one wiele wspólnego z zieloną polityką (Polskie Stronnictwo Ludowe), oraz takie, które zdają się realizować część zielonych postulatów (Partia Kobiet), ale trudno je określić mianem „ekologicznych”. Największym udziałem w ekologicznym rynku politycznym, połączonym z przywiązaniem do zielonych idei, mogą się pochwalić Zieloni 2004. Niestety, być może to ich jedyny powód do chwały. Zieloni 2004 – jedyna polska partia polityczna zrzeszona w Europejskiej Partii Zielonych (EPZ) – nie zdobyli jak dotąd istotnego poparcia i funkcjonują na marginesie życia politycznego. W trakcie badań pojawiło się więc dodatkowe pytanie: jaka jest szansa Zielonych 2004 oraz innych zielonych podmiotów na zaistnienie w polityce głównego nurtu?

Kartelizacja polityczna i zakaz myślenia

Zapytani wprost Polacy nie kryją rozczarowania dotychczasową ofertą sceny politycznej i oczekują pojawienia się „nowych graczy”. Szczytem marzeń byłoby ugrupowanie „ludzi ideowych”, „niepatrzących na interes”, dobrze wy-

kształconych, mających „gotowe pomysły”, tchnące „powiewem świeżości”, partia „pełna nowych twarzy”¹.

Na pierwszy rzut oka partia Zieloni 2004 zdaje się odpowiadać tej charakterystyce. Jej członkowie określają się jako grupa ludzi wywodzących się z różnych środowisk, dla których podstawowymi wartościami są: poszanowanie praw człowieka i respektowanie zasad zrównoważonego rozwoju społecznego, ekologicznego i gospodarczego (Zieloni 2004, *Zielony Manifest*). Są więc partią o nowym – w polskich warunkach – profilu, wyznającą zasady Zielonej Polityki – ideologii partii Zielonych na całym świecie. Uczestnicy kongresów Zielonych 2004 są zdecydowanie młodszy od działaczy innych partii (średnia wieku 32 lata wobec 37–43 lat w innych ugrupowaniach), więcej wśród nich kobiet (40% wobec 10%) i są lepiej wykształceni: w 2008 roku aż 80% miało ukończone studia². W partii nie brakuje również wykładowców akademickich, publicystów, artystów. Prawie połowa członków Zielonych ma już za sobą doświadczenie w działalności społecznej lub politycznej, przede wszystkim w organizacjach pozarządowych. Zieloni 2004 łączą więc wszystkie cechy pożądane przez wyborców. Dlaczego tak trudno jest im się przebić ze swoim przekazem do szerszego odbiorcy?

Jeszcze jakiś czas temu fatalistyczne przepowiednie, że polska scena polityczna na długi czas zostanie zdefiniowana przez „zasadniczy podział bez zasadniczej różnicy”, mogły się wydawać przesadzone. Dziś opinia o kartelizacji systemu partyjnego stała się powszechna. W ostatnich wyborach parlamentarnych cała polityczna paleta została

¹ Badania jakościowe metodą wywiadu grupowego w lipcu i sierpniu 2008 przeprowadziła agencja badawcza ARC Rynek i Opinia na zlecenie Fundacji im. Heinricha Bölla. Wśród badanych znaleźli się studenci oraz osoby z pokolenia trzydziesto- i czterdziestolatków, deklarujący m.in. gotowość do głosowania na partię zajmującą się ochroną środowiska. Badania przeprowadzono w Katowicach i Warszawie. Cytaty zamieszczone w tekście i nieopatrzone przypisami pochodzą z wypowiedzi respondentów.

² Badanie ankietowe przeprowadzone przez Agnieszkę Kwiatkowską na trzech kongresach Zielonych 2004 w latach 2004–2008, dane porównawcze: Mirosława Grabowska, Tadeusz Szawiel, *Anatomia elit politycznych*, Instytut Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1993.

zredukowana do dwóch opcji: PiS i antyPiS. Wyborcy musieli wybierać „mniejsze zło”. Obok walczących ze sobą gigantów funkcjonują jedynie topniejące SLD i PSL, oba na granicy progu wyborczego. Żadna z wiodących partii nie wprowadza do polskiego życia politycznego świeżych pomysłów, nowatorskich idei, nowych twarzy. Mogłyby to zrobić partie znajdujące się obecnie poza parlamentem, jednak próg wejścia do systemu politycznego został ustawiony zbyt wysoko. Nie chodzi tu o wymagane 5% poparcia, ale o setki tysięcy podpisów, które trzeba zgromadzić, aby zgłosić listy wyborcze, o bardzo ograniczony dostęp do mediów publicznych i komercyjnych, nieuwzględnianie w sondażach, brak finansowania z budżetu i ograniczenia dotyczące finansowania przez zbórkę funduszy. W ten sposób nawet najbardziej dynamiczna i ciekawa inicjatywa ma nikłe szanse na przebicie się ze swoim przekazem. W ostatnich wyborach boleśnie przekonała się o tym Partia Kobiet. Polska scena polityczna jest zabetonowana: to nie gospodarka, a polityka okazuje się w naszym kraju sektorem o najniższej innowacyjności.

Nie wszystko można tłumaczyć poziomem otwartości systemu partyjnego. Problem stanowi również niewielka gotowość samych wyborców do przyjęcia nowych idei. Ich świadomość kształtuje się pod wpływem idei funkcjonujących w dyskursie publicznym, ten zaś był od 1989 roku konstruowany pod dyktando sił ekonomicznego neoliberalizmu i kulturowego konserwatyzmu. Wszystko, co wykraczało poza wykreowaną w ten sposób „normalność”, obejmował *Denkverbot* – zakaz myślenia, oznaczający niemożność wyjścia poza paradygmat określony przez liberalno-konserwatywną hegemonię. Piętnowano kolejnych odszczepieńców: demonizowano feministki, judaizowano gejów, łatkę *homo sovieticus* przyczepiano związkowcom, a ekologów tępiowano jako ekoterrorystów lub przeciwników postępu. Nie jest więc zaskoczeniem, że w takich warunkach – i przy braku dziedzictwa nowych ruchów społecznych, które na Zachodzie rozwijały się po 1968 roku – kombinacja liberalizmu światopoglądowego, ekologizmu i wrażliwości socjalnej, zaprezentowana przez Zielonych 2004, okazała się połączeniem zbyt marginalizującym, by mogła zdobyć powszechne uznanie.

Przeprowadzone badania wykazały, że istnieje w Polsce duży segment wyborców domagających się polityki uwzględniającej interes pokrzywdzonych, inna grupa popiera wprowadzenie parytetu płci w gremiach politycznych, a jeszcze inna uważa, że rozwój nie może odbywać się kosztem przyrody. Jednak problemem okazało się wyodrębnienie jednorodnych postaw, charakteryzujących się akceptacją dla wszystkich trzech głównych składników „zielonej tożsamości”: podejścia proekologicznego, liberalnego w obszarze światopoglądowym i społecznego w obszarze gospodarki. Polacy nie potrafią połączyć tych wymiarów w jedną całość, a partia Zielonych jest dla nich partią wyłącznie ekologiczną³.

Narzekanie na bariery prawne, niechęć mediów i nieświadomość społeczeństwa należą do stałego repertuaru tłumaczeń, po jakie sięgają małe partie w obliczu niepowodzeń wyborczych. Partia polityczna musi w pierwszej kolejności zastanawiać się, jak działać w zastanych warunkach, a nie nad tym, jakie warunki byłyby dla niej najbardziej odpowiednie. Z tego punktu widzenia Zieloni 2004 oraz inne podmioty koncentrujące się na ekologii nie pozostają bez szans. Atrakcyjność problematyki ekologicznej w Polsce wyraźnie rośnie. W tej chwili 15% respondentów wymienia problematykę ochrony środowiska naturalnego jako jeden z najważniejszych problemów, a 25% Polek i Polaków deklaruje chęć głosowania na partię, której jednym z najważniejszych punktów programu byłaby ochrona środowiska. Zieloni 2004 to marka polityczna najsilniej kojarzona z ekologią, jednak wykorzystują zaledwie znikomą część wyborczego „zielonego potencjału”. Czy można sięgnąć po więcej?

³ W oparciu o raport z badania telefonicznego przeprowadzonego w maju 2008 przez ARC Rynek i Opinia na zlecenie Fundacji im. Heinricha Bölla na reprezentatywnej próbie 1 600 mieszkańców Polski. Użyte w artykule i nieopisane inaczej dane procentowe pochodzą z tego badania.

Polityka bez polityki

Krytycy demokracji liberalnej wskazują, że zmorą legitymizującej ją teorii politycznej jest utopijna wizja polityki bez konfliktów. Piewcy konsensu zakładają, że jednomyślność została dana z natury, a rywalizacja sprzyja niepotrzebnym i destabilizującym konfliktom. Czy jednak tylko oni? Takie twierdzenie opierałoby się na założeniu, że postpolityczny system funkcjonuje bez postpolitycznych wyborców. Czy rzeczywiście obywatele są zmęczeni ciągłym wybieraniem „mniejszego zła” i czekają tylko na okazję, aby uwolnić się od poczucia, że współczesna polityka nie oferuje żadnych emocji? Wyniki kilku ostatnich wyborów, a także sondaże opinii publicznej mówią co innego.

Dwadzieścia lat funkcjonowania postpolitycznej demokracji z chwilowym ekscysem w postaci populistycznego *backlashu* ukształtowało postpolityczny elektorat. Wyborcy, a na pewno proekologiczni wyborcy z klasy średniej, wyżej dziś cenią porozumienie i zgodę niż antagonizm. Należą przy tym do grona ludzi deklarujących się jako szczęśliwi, optymistyczni, otwarci i elastyczni. Według badań prowadzonych przez CBOS szeregi takich optymistów stale rosną, niezależnie od tego, czy chodzi o zadowolenie z życia (z ok. 53% do 67% w latach 1994-2007), z ogólnych warunków bytowych (z 24% do 47% w tym samym okresie), czy z dochodów i sytuacji finansowej (z 9% do 24%). Polska klasa średnia to postpolityczne pokolenie prozaku. Nie znaczy to, że jego przedstawiciele nie mają żadnych bolączek, lecz raczej, że szukają rozwiązań poprawiających indywidualne zadowolenie. Zwykło się zakładać, że potencjalny zielony elektorat to studenci z największych ośrodków akademickich, jednak przeprowadzony sondaż pokazał, że są to częściej osoby nieco starsze: pokolenie trzydziesto- i czterdziestolatków, z wyższym wykształceniem, mieszkające w dużych miastach, których zainteresowanie ekologią wynika z troski o wysoką jakość życia swojego i dzieci. W wywiadach fokusowych uwzględniliśmy więc obie grupy.

Młodzi wyborcy twierdzą, że „w obecnej sytuacji ich interesy nie są reprezentowane”. Nie jest to pierwsze badanie, w którym pojawia się poczucie wyobcowania młodych ludzi. Problem jednak w tym, że studenci nie wskazują żadnych interesów grupowych, które miałyby reprezentować partie polityczne. Nie dostrzegają zbyt wielu problemów, które mogłyby być rozwiązywane politycznie. Poważnym problemem jest degradacja środowiska, jednak przeciwdziałanie temu zjawisku „wymaga zmiany postaw obywateli” (segregacja śmieci itp.), a „zająć tym powinny się organizacje pozarządowe”. Polska jest mało tolerancyjna, a wiele grup doświadcza dyskryminacji: mniejszości seksualne i etniczne, kobiety, niepełnosprawni. Rozwiązaniem jest jednak ponownie „zmiana mentalności”, którą powinna się zająć szkoła.

Na jaką partię chcieliby oddać głos? Na taką, „do której by się Kościół nie wpięprzał”, „łączącą doświadczenie z młodą ideą”. Uważają, że „nie ma na kogo głosować”, „w zasadzie cały czas te same gęby”, a „trzeba partii zapewniającej odnowę polityczną”. Czyżby więc mieli dosyć *status quo*? Na jaką partię zagłosowali? Na Platformę Obywatelską. Dziwny wybór, gdy szuka się partii zdystansowanej wobec Kościoła, promującej nowe idee i osoby. Zagłosowali na PO, bo mieli dość PiS-u („nie utożsamiam się z tą partią – wybrałam mniejsze zło”) lub w „mechanicznym odruchu obywatelskim”, w myśl zasady, że lepiej zagłosować na partię niedoskonałą niż nie pójść do urn. Nie są zadowoleni z działań PO, krytykują jej bierność, nijakość i małą wyrazistość. Kiedy jednak zapytamy o cechy, które zniechęcają do głosowania na konkretne partie, to obok wodzostwa i pieniactwa pojawiają się... „zbytńia wyrazistość” i „radikalność”.

Młodzi nie tylko nie chcą się określać w kategoriach lewica-prawica, ale w ogóle nie chcą się określać w jakikolwiek sposób. Chcą „nowych twarzy, ale z doświadczeniem”. Domagają się wprowadzenia do debaty nowych tematów, „ale bez przesady”. Zbytńia ideowość jest w ich oczach podejrzana. Jeden z rozmówców wspomina o etycznych problemach związanych z jedzeniem

mięsa, choćby dlatego, że „te substancje, które są w mięsie, można też pozyskać z innych źródeł”. Jednak nawet w tym przypadku musi dodać: „oczywiście za całkowitą rezygnacją z mięsa bym się nie opowiedział”. Nie da się niczego zrobić całkowicie, zdecydowanie, ostatecznie. Młodzi pragną produktów pozbawionych swojej substancji – „rewolucji bez rewolucji”, kawy bez kofeiny, chipsów bez tłuszczu, a polityki bez idei.

Róbta co chceta

Grupa proekologicznych trzydziesto- i czterdziestokilkulatków różni się od młodzieży akademickiej. Jej członkowie potrafią się określić generacyjnie (choćby jako „pokolenie 'róbta co chceta'”), mają bardziej sprecyzowane poglądy i interesują się polityką. Nie tylko potrafią wyartykułować swoje potrzeby, ale też wskazać instytucje polityczne, które mają je rozwiązać. Nie oznacza to jednak, że stanowią elektorat partii do głębi ideowej. Slavoj Žižek określiłby ich zapewne mianem „liberalnych komunistów”: „kupujących ekologiczne towary, pomagających w recyklingu... tak jakby wzięcie pod uwagę ekologii usprawiedliwiało kapitalistyczny wyzysk”. Uważają, że zbytni radykalizm jest niedopuszczalny, ale inaczej ustawiają granice: „wprowadzenie parytetu płci w parlamencie to żaden radykalizm”. Gorzej, jeśli chodzi o postulaty gejów i lesbijek, wobec których wykazują odruchowy opór. Minimum tolerancji dla wszystkich grup mniejszościowych, równouprawnienie kobiet, odseparowanie państwa od Kościoła, a nawet opodatkowanie tego ostatniego to dla nich pewna oczywistość. Popierają liberalizację ustawy antyaborcyjnej, chcieliby karać lekarzy, którzy wbrew obowiązującym przepisom odmawiają aborcji lub badań prenatalnych, domagają się wprowadzenia edukacji seksualnej do szkół.

⁴ Slavoj Žižek, *W obronie przegranych spraw*, Wydawnictwo „Krytyki Politycznej”, Warszawa 2008, s. 396.

Ochrona środowiska jest bardzo ważna i wymaga zmiany instytucji politycznych, a nie tylko zmiany postaw. W działania na rzecz ochrony środowiska, poprawy sytuacji kobiet, podniesienia jakości usług publicznych powinny się zaangażować instytucje polityczne, „cały łańcuszek: samorząd – parlament – rząd”. Brak polityki proekologicznej jest przejawem zacofania kraju, ponieważ „do Polski te wszystkie technologie, na przykład butelek plastikowych, zostały wprowadzone wtedy, kiedy wszyscy zaczęli przechodzić na szkło (...) my jesteśmy... dwa kroki z tyłu”. Dlatego rozwój zielonej gospodarki i energetyki jest sprawą kluczową, musi jednak służyć wzrostowi i modernizacji. Państwo powinno wspierać jednocześnie rozwój odnawialnych źródeł energii i energii atomowej, bo „wszyscy to robią dookoła, tylko my mamy jakieś strachy z tego powodu”, „traumę po Czarnobylu”. „Ekologizm” tej grupy jest płytki i konformistyczny (chcą szklanych butelek i elektrowni atomowych, bo na Zachodzie takie mają), ale może przełożyć się na zachowania wyborcze.

O ile nastawienie proekologiczne i liberalizm światopoglądowy obecnych trzydziesto- i czterdziestolatków bardzo zbliżają ich do Zielonych 2004, zbieżność poglądów ekonomicznych wydaje się znacznie mniejsza. W najlepszym razie badani wykazują umiarkowaną sympatię wobec rozwiązań socjaliberalnych, takich jak rozwój usług publicznych. Największe znaczenie ma dla nich wysoka jakość opieki medycznej. Popierają podniesienie opłat za państwową służbę zdrowia, jednak w razie braku zauważalnej poprawy należy „sprywatyzować system, aby nie płacić dwa razy”. Podobnie polityka prorodzinna powinna opierać się na rozwoju infrastruktury wspomagającej opiekę nad dziećmi, a nie na becikowym. Brak żłobków, przedszkoli, placów zabaw „dyskryminuje kobiety i rodziców”. W kwestiach socjalnych i gospodarczych należy szukać rozwiązań zadowalających klasę średnią oraz ludzi ciężko pracujących, tymczasem „opieka społeczna nie zajmuje się tymi, którzy mało zarabiają, ale marginesem!” Lepiej zadbać o godziwe zarobki (np. podnosząc płacę minimalną) niż wypłacać zasiłki bezrobotnym. Tym wszystkim powinny się zająć partie polityczne i rząd.

Respondenci uważają, że obywatele powinni mieć możliwość zagłosowania na polityków, którzy się tym zajmą, jednak nie zamierzają angażować się osobiście. Przede wszystkim chcą mieć „święty spokój”.

Zawieszenie albo mimikra

W najbliższym czasie w Polsce nie zanosí się na ideologiczne trzęsienie ziemi. Nawet jeśli liberalno-konserwatywna Platforma Obywatelska i konserwatywno-liberalne Prawo i Sprawiedliwość nie zmonopolizują na stałe życia publicznego, to na wymarzony „Maj ‘68” możemy czekać bardzo długo. Niektóre środowiska polityczne, zdając sobie sprawę z realiów, nastawiły się na długą walkę o język i pracę u podstaw. Odzyskują sferę publiczną zhegemonizowaną przez dyskurs neoliberalny, wprowadzając do obiegu lewicowy język, podejmując trudną grę z mainstreamowymi mediami. Nie przeszkadza im to, że kiedy jedni uważają ich za zaczadzonych marksizmem intelektualistów, inni widzą w nich zdrajców rewolucji.

Partia polityczna jest w trudniejszej sytuacji. Nie może „na jakiś czas” utrzymywać się z wydawania książek, by w przyszłości przejąć władzę rękami ich czytelników. Partia zaistnieje w mediach tylko wtedy, gdy będzie miała poparcie, umożliwiające wejście do samorządów i parlamentu. Dlatego przed organizacjami takimi, jak Zieloni 2004, stoją tylko dwie możliwości: zawieszenie lub mimikra.

Co się dzieje z ruchem, którego ideologia nie zdobywa w danym momencie społecznego uznania? Ginie? Bywa i tak, ale równie często przechodzi w stan zawieszenia, opisany przez teoretyków ruchów społecznych. Ideologie doświadczające porażki „schodzą do podziemia, gdzie, niewidoczne dla władzy,

mogą przetrwać i odrodzić się w nowych formach”⁵. Jak pisała badaczka amerykańskiego ruchu feministycznego, „zawieszenie oznacza tryb wyczekiwania, w jakim utrzymują się ruchy działające w niesprzyjającym otoczeniu politycznym, zapewniając sobie w ten sposób ciągłość między poszczególnymi etapami mobilizacji”⁶. Organizacja w okresie zawieszenia staje się restrykcyjna i ekskluzywna. Stara się zachować „czystość” i „wierność” ideologii. W Polsce sytuacja ta dotyczy wielu organizacji lewicowych, anarchistycznych i feministycznych. W warunkach dyktatu jednej prawdy inne poglądy mogą przetrwać tylko we wnętrzu elitarnej awangardy wybrańców i wybrańczyń. Bez tworzących je ludzi nadzieja na przetrwanie scenariuszy alternatywnych byłaby praktycznie żadna. Jednocześnie grupy te pozbawiają się możliwości oddziaływania na otoczenie. Mogą jedynie wyczekiwać w nadziei, że w przyszłości okoliczności polityczne uczynią publiczność bardziej otwartą na ich postulaty. Mogą to uczynić również Zieloni 2004, próbując przechować zieloną ideologię dla przyszłych pokoleń.

Drugą możliwością jest swoiste odwrócenie cynicznej strategii, którą po 1989 roku stosowała formacja postkomunistyczna. Skoro SLD udawał, że walczy o idee, a walczył o władzę, to można udać, że walczy się o władzę, a powalczyć o idee. W kampaniach wyborczych Sojuszowi zdarzało się zwodzić środowiska gejowskie i lesbijskie obietnicami ochrony ich praw obywatelskich, zapowiadać walkę o przywrócenie kobietom prawa do decydowania, czy chcą być matkami, upominać się o los ludzi wykluczonych ekonomicznie. Jednak po zwycięskich wyborach SLD wracał do konsekwentnej obrony „aborcyjnego kompromisu”, recytowania papieskich encyklik i powtarzania jak mantry, że „rynek ma zawsze rację”. Pozorem ideowości maskował swoją postpolityczność.

⁵ George Rudé, *Ideology and Popular Protest*, Pantheon, New York 1980, s. 37.

⁶ V. Taylor, *Social Movement Continuity: The Women's Movement in Abeyance*. „American Sociological Review”, 54/1989, s. 761.

A co gdyby Zieloni 2004 pozorem postpolityczności zamaskowali część swojej ideowości? Czy nie można na czas walki o wyborcze poparcie ukryć mniej popularnych postulatów? Zamiast realizacji zasad sprawiedliwości społecznej – obiecywać podniesienie poziomu usług publicznych do poziomu satysfakcjonującego klasę średnią; odsunąć w czasie walkę o prawa mniejszości seksualnych, natomiast na pierwszy plan wysunąć walkę o równość płci, zamiast jednoznacznego sprzeciwu wobec budowy elektrowni atomowej angażować się w promowanie oszczędzania energii oraz rozwijania energetyki odnawialnej? Nie wyprzedzać programem wyborczym tempa, w jakim zmieniają się postawy Polek i Polaków, lecz obserwować te zmiany i decydować, jak daleko można posunąć się już dziś. Mimikrze może, a nawet powinna towarzyszyć praca organizacji i instytucji, które zachowają „zieloną ideologię” w czystej postaci, oraz środowisk, które będą przekształcać sferę publiczną i dyskurs w zgodzie z interesem obecnych i przyszłych pokoleń. W tej sytuacji sama partia nie musiałaby rezygnować z nienegocjowalnego „zielonego rdzenia”, a jedynie taktycznie przykroić zielony program wyborczy do kształtu, jaki mogą zaakceptować postpolityczni wyborcy.

Przemysław Sadura – socjolog i publicysta. Członek zespołu redakcyjnego „Krytyki Politycznej”. Wykładowca w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie obronił doktorat poświęcony przełomowi 1989 roku w Europie Środkowo-Wschodniej w perspektywie teorii rewolucji. Zajmuje się socjologią polityki (kwestiami ideologii, ruchów społecznych), socjologią edukacji i problematyką różnicowania klasowego. Prowadzi badania społeczne dla organizacji pozarządowych i instytucji publicznych.

Agnieszka Kwiatkowska – socjolog, politolog. Doktorantka w Zakładzie Socjologii Polityki Instytutu Socjologii UW. Przygotowuje rozprawę doktorską poświęconą nurtowi postmaterialistycznemu w polskiej polityce. Zajmuje się m.in. socjologią nowych ruchów społecznych i socjologią polityki.

2.

Między Wschodem i Zachodem

Adam Ostolski

Kiedy na przełomie lat 70. i 80. XX wieku w wielu krajach Europy Zachodniej tworzone były partie Zielonych, ich założycielki i założyciele mieli za sobą ponad dwie dekady walki prowadzonej w ramach ruchów protestu. Powstające od końca lat 50. ruchy pacyfistyczne, ekologiczne, feministyczne, antynuklearne, broniące praw człowieka, praw zwierząt itp. określano mianem Nowej Lewicy lub „nowych ruchów społecznych”. Od początku cechowały się one luźną strukturą i niechętnym, a co najmniej podejrzliwym stosunkiem do hierarchicznych form organizacji (takich jak partia polityczna). Ruchy te powstawały wokół konkretnych ognisk społecznego niezadowolenia (wojna w Wietnamie, męska dominacja, wyścig zbrojeń, ograniczenia wolności seksualnej, elektrownie nuklearne, eksperymenty na zwierzętach itp.), a zarazem tworzyły ambitne wizje lepszego świata. Mimo że ich działanie miało charakter międzynarodowy, przełamujący geopolityczne podziały na Wschód i Zachód, a także na globalną Północ i Południe, początkowo tylko na Zachodzie wyłoniły się z nich partie Zielonych.

Od ruchów protestu do partii Zielonych

Zakładając partie polityczne, Zieloni nadawali jednocześnie nowe znaczenie wysuwany przez te ruchy postulat. Chodziło nie tylko o skuteczniejsze działanie na rzecz zmiany społecznej, lecz także o stworzenie nowej, trwałej formuły, obejmującej wielość społecznych roszczeń jednym słowem-kluczem. Tym kluczem stała się „zielona polityka”. Idea zielonej polityki pozwoliła połączyć w jedno wiele ognisk protestu, a także różne (choć niekoniecznie rozbieżne) marzenia o lepszym świecie.

Ale partie Zielonych nie tylko nawiązywały do ruchów społecznych na poziomie idei, lecz także korzystały z ich doświadczeń organizacyjnych. W niektórych krajach ruchy społeczne brały nawet udział w wyborach, najchętniej samorządowych – w Holandii już w latach 60. (amsterdamscy provosi mieli

przedstawicieli w radzie miasta¹), w Wielkiej Brytanii od początku lat 70. (w roku 1973 powstała partia PEOPLE, poprzedniczka dzisiejszej Partii Zielonych Anglii i Walii). Każdy kraj miał swoją specyfikę. W Anglii za symboliczny początek kontestacji uznaje się pierwszy Marsz Wielkanocny (1958) przeciwko zbrojeniom nuklearnym, w Holandii na pierwszy plan wysunęły się ruchy wolnościowe, w Niemczech szczególną rolę odegrały rozrachunki z pokoleniem ojców i jego uwikłaniem w nazizm, we Francji do rangi symbolu urosła zaś kwestia ograniczeń seksualnej wolności młodzieży i studentów. Ogólnoświatowy charakter miał sprzeciw wobec wojny w Wietnamie, nasilający się w miarę doniesień o amerykańskich zbrodniach wojennych. Na całym świecie niezgodę wzbudzały również autorytaryzm „starej lewicy” (głównie komunistów) oraz jej kapitulacja (głównie socjalistów) wobec *status quo* i stopniowe rezygnowanie z ambitnych projektów zmiany społecznej.

Partie Zielonych nie pojawiały się więc w próżni, lecz w historycznym kontekście, w którym ich powstanie wydawało się naturalne. Były również odpowiedzią na wyczerpywanie się utopijnej energii lat 60. i 70. Część ruchów społecznych traciła uniwersalistyczny charakter, skłaniając się ku wąskiej „polityce tożsamości”. Część działaczy wycofywała się z aktywności politycznej, przyjmując strategię indywidualistyczne – zdrowy styl życia, własny biznes, karierę, rozwijanie osobistego potencjału itp. Inni, pragnąc przyspieszyć nadejście rewolucji, kierowali się w stronę terroryzmu. Zieloni uważali, że każda z tych dróg stanowi ślepą uliczkę. Fascynatom terroryzmu i przemocy odpowiadali, że zmiany spo-

¹ Provoši – kontrkulturowy ruch, działający w Holandii w połowie lat 60. Ich działalność polegała przede wszystkim na tworzeniu Białych Planów (projektów reform mających zbliżyć instytucje władzy do codziennych potrzeb ludzi) oraz na organizowaniu pokojowych happeningów, które prowokowały policję do użycia przemocy. Kontynuacją ruchu provośów była założona w 1970 roku Partia Krasnoludków. Zob. też Aldona Jawłowska, *Drugi kontrkultury*, Warszawa 1975. O ruchach kontrkulturowych w różnych częściach świata zob. też *Rok 1968 – 40 lat później. Marzenie o wykonalności zmiany*, Warszawa 2008 oraz *Rewolucje 1968*, Warszawa 2008.

tecznej nie da się wymusić, że konieczny jest (jak to sformułował Rudi Dutschke²) długi „marsz przez instytucje”. Tym, którzy wybierali indywidualną karierę, mówili, że odpowiedzią na problemy społeczne – kryzys ekologiczny, wyścig zbrojeń, ucisk kobiet – nie jest indywidualna „terapia”, lecz zbiorowe polityczne działanie, nastawione na przekształcenie współrzędnych ludzkiego świata. Wreszcie uciskanym grupom (kobietom, mniejszościom seksualnym, osobom podlegającym dyskryminacji rasowej itp.) proponowali – na przekór „polityce tożsamości” – taką artykulację ich roszczeń, która nie zamykała ich w wąskich ramach „interesu grupowego” i lobbingu, lecz wpisywała je w horyzont uniwersalny, czyniąc ogniwem szerszego projektu zmiany społecznej.

Zastanawiając się nad tym, czy w krajach Europy Środkowej jest dziś miejsce na zieloną politykę, trzeba zacząć od kilku pytań. Czym było dla mieszkańców Europy Środkowej doświadczenie kontestacji lat 60.? Dlaczego po wschodniej stronie żelaznej kurtyny nie powstały partie Zielonych? Czy Zieloni mogą nawiązywać dziś, podobnie jak na Zachodzie, do buntu i nadziei lat 60.? Jeśli tak, to w jaki sposób? Jeśli nie, to do jakich innych tradycji mogą nawiązywać?

Od rewizjonizmu do opozycji demokratycznej

Dominująca dziś w Europie Środkowej narracja podkreśla przede wszystkim głęboką odrębność ruchów protestu po obu stronach żelaznej kurtyny. Kiedy zachodnia młodzież przejawiała niezdrową fascynację myślą Marksa, Mao i Marcusego, Polacy – powiada się – odwoływali się do Miłosza i Mickiewi-

² Rudi Dutschke (1940-1979) – legendarny przywódca niemieckiej kontestacji, jeden z liderów SDS (Sozialistischer Deutscher Studentenbund) i Opozycji Pozaparlamentarnej. Sformułował koncepcję „marszu przez instytucje”, zaś pod koniec życia zaangażował się w tworzenie niemieckiej Partii Zielonych. O kontestacji w Niemczech zob. też Daniel Cohn-Bendit i Rüdiger Dammann (red.), *Maj '68. Rewolta*, tłum. S. Lisiecka i Z. Jaskuła, Warszawa 2008.

cza. Kiedy zachodni studenci marzyli o demokratycznym socjalizmie, mieszkańcy bloku wschodniego spoglądali tęsknie ku liberalnej demokracji. W opowieści tej jest ziarno prawdy (między Wschodem a Zachodem od początku istniały pewne różnice), jednak jej główna teza jest fałszywa. Przede wszystkim dlatego, że na całą przeszłość wschodnich i zachodnich ruchów protestu każe patrzeć przez pryzmat różnic, które skryształizowały się na dobre dopiero w latach 70.

Lata 60. to przede wszystkim epoka wspólnego buntu, który Immanuel Wallerstein fortunnie określił mianem „rewolucji w systemie-świecie”³. Ruchy protestu na całej kuli ziemskiej miały wówczas wiele cech wspólnych. Podobny był profil społeczny uczestników. Na całym świecie w latach 60. młodzież stała się odrębnym aktorem politycznym, a uniwersytety, sale wykładowe i campusy – polem politycznej walki. Jednak mobilizacja objęła nie tylko młodzież akademicką, lecz również licealistów i młodych robotników. Także w Polsce (jak pokazują najnowsze badania archiwalne Marcina Zaremby), wbrew popularnym frazesom o roku 1968 jako doświadczeniu pokoleniowym inteligencji, bunt młodych robotników miał co najmniej równie szeroki zasięg jak protesty na uniwersytetach. Zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie zaczęła się w tym okresie polityczna artykulacja interesów i potrzeb konsumenckich, choć tylko na Zachodzie, w gospodarce rynkowej, konsumenci wyłonili się wyraźnie jako podmiot praw i aktor polityczny.

Podobne na całym świecie były przede wszystkim motywy kontestacji, zwłaszcza rozczarowanie konformizmem starej lewicy. W warstwie ideowej kontestacja opierała się przeważnie na takim lub innym nurcie wolnościowego marksizmu. Na Zachodzie były to prace szkoły frankfurckiej, na Południu – literatura antykolonialna, na Wschodzie zaś rewizjonizm. Do najważniejszych prac tego ostatniego nurtu należą *Nowa klasa* (1957) Milowana Dżilasa oraz *List*

³ Immanuel Wallerstein i Sharon Zukin, *1968 – rewolucja w systemie światowym*, „Krytyka Polityczna”, 6/2004.

otwarty do Partii (1964) Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. *List do Partii* został w krótkim czasie przełożony na kilkadziesiąt języków, inspirował działaczy Praskiej Wiosny, był bestsellerem w Dzielnicy Łacińskiej w okresie poprzedzającym paryski Maj. Nie ma lepszego dowodu na pełnoprawne uczestnictwo polskiej opozycji w światowym obiegu idei.

Oczywiście już w latach 60. dało się dostrzec pewne różnice w politycznym profilu ruchów protestu po obu stronach żelaznej kurtyny (do różnic tych jeszcze wróć), jednak przełomowe znaczenie miał dopiero rok 1968. Na Zachodzie był on kulminacją protestu, na Wschodzie zaś nieodwołalnym zamknięciem pewnej epoki. To wtedy doszło do rozwidlenia. Przez lata 70. zachodnie ruchy społeczne budowały własne instytucje, nie zmieniając przy tym ani swych celów, ani tożsamości. Na Wschodzie wydarzenia marcowe i kampania antysemita w Polsce, a także interwencja wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji położyły kres marzeniom o wewnętrznej reformie socjalizmu. Zbierając siły po katastrofie, ruchy opozycyjne musiały na nowo określić swoją tożsamość i w pewnym sensie zacząć wszystko od początku. Mimo że wzajemne kontakty ponad żelazną kurtyną utrzymywały się, a nawet pogłębiały, drogi kontestacji coraz wyraźniej się rozchodziły. Podczas gdy na Zachodzie nowe ruchy społeczne instytucjonalizowały się w formie partii Zielonych, na Wschodzie z klęski roku 1968 wykuwała się z wolna „opozycja demokratyczna”.

Czym była opozycja demokratyczna? Przede wszystkim – znakiem odchodzenia od marzeń o demokratycznym socjalizmie na rzecz języka praw człowieka, a zwłaszcza formalnych wolności politycznych. Krytykę wielości stosunków władzy, przede wszystkim ekonomicznej, zastąpiło ostre rozróżnienie między totalitaryzmem a demokracją. W wielu krajach Europy Środkowej powstawały szerokie platformy opozycji przeciw systemowi, wykraczające poza podział na lewicę i prawicę. Wśród rzeczników i rzeczniczek czechosłowackiej Karty 77 byli socjaliści, liberałowie i chrześcijanie. W polskim kontekście Adam Michnik wzywał

do przekraczania „kredowych kół” między „lewicą laicką” a Kościołem katolickim i do tworzenia wspólnego frontu przeciw totalitarnej władzy (*Kościół, lewica, dialog*, 1977). Zarazem język politycznej analizy ustępował miejsca językowi moralności – „antypolitycznej polityki” (Györgi Konrád), „siły bezsilnych” (Václav Havel), etosu „autentyczności” (Adam Michnik). Zamazywaniu się rozróżnień politycznych i deklarowanemu wstrętowi do władzy towarzyszyło budowanie wspólnej opozycyjnej tożsamości na pojęciu „przyzwoitości” i poczuciu moralnej wyższości nad przeciwnikiem. Jednym z pierwszych diagnostów tej sytuacji był Leszek Kołakowski. W eseju *Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą? Katechizm* (1978) – opatrzonym ironicznym mottem „Proszę się cofnąć do przodu!” – ostrzegał on przed skutkami postawy, prowadzącej do erozji wielkich politycznych projektów jako „zdolnych do życia i wykluczających się opcji”⁴.

Czego zabrakło na Wschodzie

W tym klimacie trudno było o powstawanie ruchów społecznych, które mogłyby stać się załącznikiem zielonej polityki. Jednak źródła tych trudności są przynajmniej po części dawniejsze. Ruch lat 60. i 70. w Europie Środkowej od początku pozbawiony był kulturowej otoczki, jaką miał na Zachodzie, a kwestie takie, jak prawa kobiet, kryzys ekologiczny czy społeczna marginalność lesbijek i gejów, nie doczekały się politycznej artykulacji. Opozycyjne ruchy w Europie Środkowej, skupione na walce z „totalitaryzmem”, nie przeszły również dwóch ważnych lekcji: dekolonizacji i wewnętrznej krytyki liberalnej demokracji.

Złożyło się na to wiele czynników. Jeśli chodzi o relacje między płciami, po wschodniej stronie żelaznej kurtyny kobiety doświadczały paradoksalnych dobrodziejstw odgórnej emancypacji. Kwestie, które na Zachodzie stały się

⁴ Leszek Kołakowski, *Czy diabeł może być zbawiony i 27 innych kazań*, Londyn 1984, s. 205.

zarzewiem ruchu feministycznego – wypychanie kobiet z rynku pracy, zakaz aborcji (m.in. we Francji, USA i Niemczech do połowy lat 70.), a niekiedy także antykoncepcji (w USA i Francji), ograniczone prawa cywilne mężatek (we Francji) itp. – nie odnosiły się do sytuacji kobiet w krajach bloku wschodniego. Po śmierci Stalina aborcja była w większości z nich legalna, a kobiety były zachęcane przez państwo do pracy zarobkowej. Natomiast specyficzne problemy kobiet w warunkach realnego socjalizmu, przede wszystkim pracę „na dwie zmiany” (w domu i w zakładzie pracy), postrzegano wówczas przede wszystkim jako skutek życia w warunkach gospodarki niedoboru. Dopiero po latach zauważono, że był to także efekt patriarchalnego podziału pracy w społeczeństwie.

Jeśli chodzi o kwestie ekologiczne, na Zachodzie wiązały się one z krytyką bezmyślnego uprzemysłowienia oraz społeczeństwa konsumpcyjnego. Kwestionowano społeczny przymus konsumowania dużo i na pokaz, domagając się uznania prawa konsumentów do trwałych, ekologicznych dóbr, podnoszących jakość ich życia. Na Wschodzie krytyka uprzemysłowienia polegała głównie na żądaniu zmiany priorytetów: z przemysłu ciężkiego na lekki, z forsownej modernizacji mierzonej tonami wydobytego węgla i wytopionej stali – na potrzeby konsumpcyjne społeczeństwa. Mimo pewnych podobieństw krytyka ta miała w zachodnich „społeczeństwach obfitości” i we wschodnich „gospodarkach niedoboru” zupełnie inne znaczenie. Na Wschodzie nie podnoszono kwestii ekologicznych kosztów modernizacji. Nie dlatego, że brakowało wiedzy eksperckiej, lecz nie przekładała się ona na polityczne działanie. Wydana w roku 1961 *Oskąlpowana Ziemia* Antoniny Leńkowej, w przeciwieństwie do późniejszej o rok *Silent Spring* Rachel Carson⁵, nie stała się biblią ruchu społecznego.

⁵ Rachel Carson (1907-1964) – amerykańska biologka. Jej wydana w 1962 roku książka *Silent Spring* (Milcząca wiosna) ostrzegała przed skutkami degradacji środowiska m.in. wskutek używania pestycydów. Książka ta jest powszechnie uważana za impuls, który zapoczątkował powstawanie ruchów ekologicznych. *Silent Spring* nie doczekała się polskiego przekładu, wspomina o niej Henryk Sandner w przedmowie do trzeciego wydania *Oskąlpowanej Ziemi* Antoniny Leńkowej (Warszawa 1971).

Inna różnica dotyczyła znaczenia kontrkultury. Wątki kontrkulturowe były w Europie Środkowej obecne, ale przenikając z Zachodu, traciły swoje polityczne ostrze. Ktoś mógł hodować marihuanę na działce, ktoś inny – używać w domu solniczki w kształcie penisa i tybetańskich dzwonków⁶. Lecz ani władza, ani opozycja nie czyniły z tego kwestii politycznej. Prawdziwe polityczne stawki dotyczyły tu narodowych tradycji poszczególnych społeczeństw, a nie kulturowego nowatorstwa. W tym samym czasie sytuacja na Zachodzie była dokładnie odwrotna: zarówno rządy, jak i ruchy protestu wybierały konfrontację właśnie w obszarze kultury. Symboliczną postacią jest tu John Sinclair, aresztowany w roku 1969 za podanie agentowi policji dwóch jointów i skazany przez amerykański sąd na 10 lat więzienia. Dwa i pół roku później w jego obronie stanął John Lennon, komponując okolicznościowy protest song, i Sinclair został przedterminowo zwolniony.

Podobnie kwestia praw gejów nie nabrała na Wschodzie politycznego wymiaru. W krajach, w których stosunki seksualne między mężczyznami nie były ścigane, takich jak Polska (od 1932) czy Czechosłowacja (od 1961), pozostawały one kwestią prywatną. W innych krajach, takich jak ZSRR czy Kuba, były one karalne, ale uznawano, że jest to raczej pretekst do tłumienia opozycji przez totalitarny reżim niż prześladowanie seksualnej mniejszości. W tym samym czasie w większości krajów na Zachodzie (z wyjątkiem Francji) obowiązywały twarde paragrafy, powodujące niekiedy dramatyczne sytuacje. W roku 1954 popełnił samobójstwo wybitny matematyk Alan Turing, skazany przez brytyjski sąd na „terapię” hormonalną, wskutek której zaczęły mu rosnąć piersi. Opresja wywoływała jednak opór, a w końcu bunt. W czerwcu 1969 bywalcy nowojorskiego baru „Stonewall” przeciwstawili się policji,

⁶ Zob. *Kwiaty we włosach*, Krystian Lupa w rozmowie z Katarzyną Bieląs, „Duży Format” 22/2008, dodatek do „Gazety Wyborczej”, 9.06.2008; Kinga Dunin, *Zadyma*, „Krytyka Polityczna” 6/2004.

wywołując kilkudniowe zamieszki, które oznaczały wyjście z ukrycia ruchu LGBT. Po wschodniej stronie żelaznej kurtyny lesbijki i geje nie mieli jednak takich doświadczeń.

Ważniejsze od przyczyn tych odmienności są jednak ich długofalowe konsekwencje. Kiedy w końcu w Europie Środkowej pojawiły się nowe ruchy społeczne – a było to w połowie lat 80. – nie znalazły one zrozumienia u ludzi pokolenia '68, którzy stali się w międzyczasie przywódcami opozycji. Przez lata 80. ruchy te traktowano jako ambiwalentnego sojusznika, w latach 90. okazały się „roszczeniowym” balastem dla raczkującej demokracji, utrudniającym wymarzony „powrót do normalności”. Śledząc postawę dawnych opozycyjnych elit wobec protestów ekologicznych (Czorsztyn, Góra Św. Anny) czy wobec pacyfistów więzionych za odmowę służby w wojsku (sprawa Romka Gałuszki), napotykamy w najlepszym razie na obojętność. Część z tych elit zaangażowała się na początku lat 90. w komitety społeczne, domagające się referendum w sprawie planowanego zakazu aborcji, jednak większość zaakceptowała rzekomy kompromis, polegający na niemal całkowitym zakazie przerywania ciąży. W granicach wyobraźni ukształtowanej na walkach lat 70. trudno było pojąć, że kwestie ekologiczne, pacyfistyczne lub feministyczne mogą być naprawdę ważne, i że nawet w liberalnej demokracji zdarza się czasem, że prawa człowieka są łamane.

Może najwyraźniej różnice między Zachodem i Wschodem doszły do głosu przy okazji amerykańskiej napaści na Irak, kiedy zdecydowana większość dawnych konstatatorów na Zachodzie stanowczo sprzeciwiła się wojnie, podczas gdy równie zdecydowana większość byłych wschodnich dysydentów z tego samego pokolenia wojnę poparła. Jedni i drudzy przeszli od lat 60. długą drogę, z buntowników stając się elitami (politycznymi, dziennikarskimi, kulturalnymi) swoich społeczeństw. Jednak w roku 2003 okazało się, że ich wyobrażenia o świecie wciąż rozdziela żelazna kurtyna.

Co robić?

Warunki przełamania tego impasu nie są dziś najbardziej sprzyjające. Najlepsza koniunktura dla zielonej polityki istniała w Europie Środkowej na przełomie lat 80. i 90. Działały wtedy silne ruchy społeczne – ekologiczne, pacyfistyczne, antynuklearne. Na początku lat 80. zaczęły kształtować się ruchy feministyczny i lesbijsko-gejowski. Kryzys ekologiczny był silniej niż kiedykolwiek przedtem (lub potem) odczuwalny w życiu codziennym przeciętnych ludzi, a zamknięcie niemal ukończonej budowy elektrowni jądrowej w Żarnowcu stanowiło sukces, na którym można było oprzeć dalszą walkę. Jednak po tym pierwszym sukcesie przyszło pasmo niepowodzeń, ruchy społeczne przekształciły się w coraz bardziej odpolitycznione organizacje pozarządowe, a scenę polityczną i dyskurs publiczny podzielili między siebie spadkobiercy dawnego reżimu i dawnej opozycji.

W tych warunkach nie da się ani powtórzyć drogi, jaką przeszły zachodnie partie Zielonych, ani tym bardziej skopiować od nich dzisiejszej, wykształconej przez kilka dekad formuły zielonej polityki. Nie istnieje droga na skróty. Zielona polityka w Europie Środkowej musi zarówno organizacyjnie, jak i ideowo wyrastać z lokalnych odpowiedzi na lokalne i globalne wyzwania. Szczególnie ważne wydają się w tym kontekście trzy kwestie.

Przede wszystkim, podobnie jak partie zielonych na Zachodzie wyrastały z politycznego doświadczenia ruchów społecznych, Zieloni w Europie Środkowej muszą oprzeć swoją politykę na realnym społecznym podłożu. Priorytetem powinno być rozpoznanie realnych ognisk społecznego niezadowolenia, zwłaszcza tych ignorowanych przez partie politycznego establishmentu, oraz tworzonych przez ludzi różnorodnych marzeń o lepszym świecie. Potrzebny jest też organizacyjny sojusz z bliskimi zielonej polityce ruchami społecznymi (zwłaszcza ruchami protestu) i związkami zawodowymi. Jednoczesna profesjo-

nalizacja polityczna i zacieśnianie związków z ruchami społecznymi to nie łąda wyzwanie, ale wydaje się, że dla Zielonych w Europie Środkowej nie ma dziś innej drogi.

Drugie wyzwanie polega na odnalezieniu własnej tradycji, a zwłaszcza na opowiedzeniu na nowo historii polskiej transformacji. Dziś w polskim życiu publicznym dominuje narracja o roku 1989, stworzona przez byłych opozycjonistów⁷. W tej opowieści o najnowszej historii Polski po prostu nie ma miejsca na zieloną politykę. Istnienie liczącej się partii Zielonych nie jest ani potrzebne, ani możliwe. Dlatego niezwykle ważne jest stworzenie opowieści o roku 1989 z perspektywy doświadczeń ruchów ekologicznych, feministek, pacyfistów oraz innych grup, których głosy zostały pominięte. Wielkim wsparciem dla zielonej polityki byłoby stworzenie archiwum historii tych ruchów. Zanim to się stanie, warto korzystać z książek Davida Osta, Agnieszki Graff, Bronisława Świdarskiego i Elizabeth Dunn. David Ost (*Kłęska „Solidarności”*) i Elizabeth Dunn (*Prywatyzując Polskę*) piszą o przeobrażeniach stosunków pracy i o zmieniającej się funkcji związków zawodowych w nowej rzeczywistości, Agnieszka Graff – o wykluczeniu głosu kobiet z kształtującej się liberalnej sfery publicznej (*Świat bez kobiet*) i o związkach między płcią a nacjonalizmem (*Rykoszetem*), Bronisław Świdarski (*Gdańsk i Ateny*) – o roli inteligencji w procesie transformacji i jej wpływie na kształtującą się demokrację. Każda z tych książek jest inna, ale każda na swój sposób przeciera szlaki zielonej polityki.

Największym wyzwaniem, jakie dziś stoi przed Zielonymi, jest przemyslenie na nowo podstaw zielonej polityki. Trudna sytuacja partii Zielonych w Europie Środkowej jest tu paradoksalnie szansą. Zielona polityka nigdy nie była

⁷ Jak dowodzą badania Przemysława Sadury, wersję tę przyjmują jako obowiązująca również „postkomuniści”. Zob. Przemysław Sadura, *Ideologie elit III RP*, w: Jacek Raciborski (red.), *Elity rządowe III RP. Portret socjologiczny*, Warszawa 2006.

katechizmem, zbiorem gotowych odpowiedzi na bolączki świata, lecz raczej pewnym sposobem mozolnego wiązania ze sobą różnych społecznych roszczeń. Podstawy zielonej polityki sformułowane w latach 70. stanowiły próbę progresywnej krytyki zachodnich państw opiekuńczych. Dziś mamy natomiast do czynienia z zaawansowanym neoliberalizmem, który w Europie Środkowej posunął się szczególnie daleko. Dlatego trzeba na nowo rozpoznać ogniska społecznego niezadowolenia i ponownie opowiedzieć zielone marzenia o lepszym świecie. W latach 70. chodziło o wolność jednostki, przede wszystkim o prawo do autentyczności i samorealizacji. Dziś jednak głównym zagrożeniem dla wolności jest nie tyle uporczywość tradycji, co nieustannie wytwarzane przez globalny rynek ryzyko, z którym jednostki muszą się mierzyć samotnie. Dlatego Zieloni – nie tylko w Europie Środkowej – powinni się dziś przede wszystkim upomnieć o dobro wspólne.

Adam Ostolski – socjolog, filozof i tłumacz. W nauce reprezentuje perspektywę teorii krytycznej, łączącej badanie społeczeństwa z zaangażowaniem w jego zmianę. W kilku publikacjach wskazywał na strukturalne pokrewieństwo polskiej homofobii i antysemityzmu. Był współinicjatorem listów-interwencji: *Listu Warszawskiego* w sprawie ataków, jakie miały miejsce w Krakowie w 2004 roku na demonstrantów, domagających się tolerancji dla środowisk LGBT (wraz z Michałem Bilewiczem) oraz listu przeciw powstaniu w Warszawie pomnika Romana Dmowskiego (w 2006 roku). Członek Zielonych 2004 i redakcji „Krytyki Politycznej”.

3.

Zielony finał PRL-u

Ewa Charkiewicz

Drugą połowę lat 80. zapamiętałam jako okres alternatywno-zielonego intelektualnego fermentu. W tym okresie poczucie sprawczości dawało mi współtworzenie ruchu ekologicznego. Podobne doświadczenia były udziałem wielu moich zielonych znajomych z tamtych lat. W latach 80. w Polsce istniało blisko 200 grup lokalnych, organizacji, sieci ogólnokrajowych¹. Ruch ten, polityczne warunki jego powstania i różnorodny charakter (od Ligi Ochrony Przyrody i eksperckiego Polskiego Klubu Ekologicznego, przez grupy kontrkulturowe, po „Wolność i Pokój”) został dość szczegółowo opisany w naukowych publikacjach, między innymi w książkach Przemysława Czajkowskiego, Piotra Glińskiego, Józefiny Hryniewicz. Wiele z założonych wówczas organizacji działa nadal, wielu spośród ówczesnych animatorek i animatorów ruchu nadal identyfikuje się z ekologią jako światopoglądem, wiedzą interdyscyplinarną i ruchem społecznym. Jednak – z wyjątkiem wydarzeń takich jak protesty wokół Rospudy czy działalność Zielonych 2004 – ruch ekologiczny nie jest dzisiaj politycznie widoczny. W tym rozdziale chciałabym się skupić na specyficznych dla tamtego okresu warunkach, które sprawiły, iż działalność jednostek i grup przeobraziła się w ruch społeczny, czy też, jak pisze Piotr Gliński, w ruch społecznego protestu, oraz zastanowić się, co się dalej stało z ówczesnym ruchem ekologicznym. Jeśli nie zniknął wraz z PRL-em, to jak się przeobrażał wraz z nowym porządkiem politycznym?

Ruch ekologiczny w latach 80.

Patrząc wstecz, łatwo stwierdzić, iż projekt socjalizmu państwowego, który nazywamy dzisiaj PRL-em, doświadczał w tamtej dekadzie kryzysu legitymizacji i kryzysu ekonomicznego. Jednak u schyłku lat 80. nikt z nas nie spodziewał się nagłych zmian politycznych. Dopiero rozmowy Okrągłego Stołu

¹ Piotr Gliński, *Polscy Zieloni. Ruch Społeczny w czasie przemian*, Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 1996, s. 155

pozwołyły dostrzec taką możliwość, nawet jeśli ich skutki trudno było przewidzieć. Ruch ekologiczny szedł do tych rozmów przygotowany zarówno w sensie programowym, jak i politycznym. Wielość i różnorodność organizacji, ich polityczna widzialność oraz społeczna nośność haseł i idei związanych z ochroną środowiska legitymizowały ekspertów, którzy uczestniczyli w negocjacjach w zespole ds. ekologii. Pozycję ekspertów² wzmacniały liczne przygotowywane wcześniej opracowania dotyczące polskiego środowiska naturalnego, w tym stref zagrożenia, energii, transportu, rolnictwa ekologicznego oraz demokracji uczestniczącej.

Osoby identyfikujące się wówczas z ruchem ekologicznym można podzielić na dwie grupy, rozgraniczone w sposób dość umowny i działające w tym samym kierunku. Obydwie kwestionowały *status quo*. Dla pierwszej z nich punktem wyjścia były warunki i jakość życia. Czystość środowiska i zdrowie ludzi stanowiły tematy decydujące o identyfikacji z ruchem, motywujące zaangażowanie i stymulujące do aktywności. Walka o zdrową żywność „bez chemii”, czyste powietrze, zdrowe budynki, jakość wody pitnej, a także protesty przeciwko budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu i składowisku odpadów w Międzyrzeczu to przykłady tematów, którymi wówczas zajmowali się zieloni. Znaczna część organizacji ekologicznych występowała wówczas – choć na różny sposób – z pozycji antysystemowych. Dla niektórych osób winne niszczenia środowiska były przede wszystkim „komuna” i utożsamiana z PRL industrializacja, inni przyczyn kryzysu ekologicznego upatrywali w kulturze, w przyjmujących różną postać relacjach przemocy pomiędzy ludźmi i między ludźmi a przyrodą, oraz w funkcjonowaniu gospodarki. Pamiętam, że czytaliśmy wówczas *Mieć czy być?* Fromma, *Promienie z popiołów* i *Państwo atomowe* Jungka, *Autorytarną osobowość* Adorno, raport Klubu Rzymskiego *Granice wzrostu*, *Spór o wzrost gospo-*

² O uczestnikach i przebiegu negocjacji zob. *Ekologiczny „Okrągły Stół” po trzech latach*, „Biuletyn InE”, 1/1993.

darczy Mishana. Z czasem pojawiło się wiele polskich publikacji: od raportów Komitetu Polska 2000 – polskiego oddziału Klubu Rzymskiego – po książki takie jak *Człowiek przeciwko sobie* (pod redakcją Antoniny Leńkowej) i wiele innych ówczesnych publikacji polskich autorek i autorów.

Zarówno w Polsce, jak i na Zachodzie trwały wówczas protesty przeciwko instalacji amerykańskich rakiet Cruise i rosyjskich SS-20. Lektura tych samych książek oraz wierność tym samym ekologicznym i pokojowym ideom zbliżała nas wówczas z zielonymi z innych krajów. Niekiedy kontakty były bliskie: na obozy „Wolę Być” (które dzisiaj ze względu na ich edukacyjny charakter nazywalibysmy *summer schools*) przyjeżdżali ekolodzy i ekofeministki z Włoch, Szwecji, Wielkiej Brytanii (Greenham Common). Lektury i kontakty przyczyniały się do powstania ekologicznej wspólnoty ponad granicami państw i uruchamiały proces budowania światopoglądu ekologicznego, bez którego nie istniałby ruch.

Ruch ekologiczny lat 80. nabywał wiedzę o stanie środowiska w Polsce, w tym także dotyczącą konkretnych problemów i lokalnych konfliktów, z różnych źródeł. „Wiedzy operacyjnej” dostarczały między innymi organizacje eksperckie, jak Polski Klub Ekologiczny, którego sztandarowym projektem był raport o 27 strefach zagrożenia ekologicznego w Polsce, będący swoistym ekologicznym audytem PRL-u (taki „audyt” przydałby się i dzisiaj). Wiele organizacji gromadziło informacje i przetwarzało je w krytyczną wiedzę, wykorzystywaną na potrzeby lokalnych akcji. W „Wolę Być” zdecydowaliśmy się wziąć pod lupę produkcję, transport i dystrybucję siarki, spotykaliśmy się z decydentami, z lokalnymi i uniwersyteckimi ekspertami, organizowaliśmy spotkania i uliczne protesty w Tarnobrzegu i w Gdańsku. Edukowaliśmy siebie i innych. Podobne działania podejmowane były w związku ze sprawą budowy elektrowni atomowej. Dzisiaj najbardziej widoczne są projekty związane z międzynarodowymi kampaniami, np. z lobbingiem wokół unijnej dyrektywy o rejestracji i ewaluacji potencjalnie toksycznych związków chemicznych (REACH), czy wokół Konwencji o Zmianie Klimatu. Łatwiej na nie znaleźć fundusze. Ówczesne raporty miały charakter lokalny i zaspokajały

lokalne potrzeby. Nie neguję wartości ponadnarodowych projektów – zanieczyszczenie środowiska nie zna granic – zwracam jednak uwagę na trajektorię rozwoju ruchu, podkreślając znaczenie jego zakorzenienia i większego zakresu autonomii w planowaniu swoich działań. Bez krytycznej, związanej z życiem ludzi wiedzy lokalnej ruch ekologiczny ma ograniczony wpływ społeczny.

Oprócz światopoglądu, antysystemowego nastawienia i tendencji do korzystania ze społecznych zasobów wiedzy krytycznej liczne rzesze ekologów łączyła przynależność do kontrkultury. Ówczesny ruch ekologiczny tworzyły trzy pokolenia: generacja ówczesnych pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatków, związanych z tradycją ochrony przyrody, generacja trzydziestolatków, której światopogląd kształtował się pod wpływem kontrkultury roku '68, oraz generacja najliczniej reprezentowana w ruchu: nasto- i dwudziestolatkowie, przeciwstawiający się konsumeryzmowi swoich rodziców. Politycznym punktem odniesienia był konflikt między establishmentem państwowego socjalizmu a „Solidarnością”. Ruch ekologiczny powstawał między innymi w reakcji na zwrot do życia prywatnego, jaki nastąpił po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku. Niektórych uczestników mobilizowało marzenie, aby projekt „Solidarności” (stanowiący odmianę humanistycznego i demokratycznego socjalizmu lub socjalizmu z ludzką twarzą, co łatwo wyczytać ze słynnych 21 Postulatów Sierpniowych) pogłębić o perspektywę ekologiczną, lub – w przypadku niewielkich osób zainteresowanych upodmiotowieniem kobiet – o perspektywę feministyczną. Przekładało się to również na alternatywne projekty społeczne, oparte na nieautorytarnych relacjach władzy (przykładem może tu być manifest Federacji Zielonych, postulujący demokrację³).

³ Demokracja była rozumiana jako kreowanie, tworzenie wspólnot ludzkich, zwłaszcza tych lokalnych, ale też wewnątrzorganizacyjnych. Pojęcie to sygnalizowało konieczność głębokiego przemyślenia znaczenia głosu jednostki, uwzględnienie poglądów mniejszości w czasie podejmowania decyzji grupowych.

Dla bardzo wielu z nas elementem wspólnej „zielonej tożsamości” był styl życia i model relacji międzyludzkich. Dotyczyło to w szczególności młodego pokolenia ruchu. Powszechne były wśród nas wegetarianizm i marzenia o zakładaniu zielonych szkół, podejmowaliśmy pracę w gospodarstwach ekologicznych, działaliśmy w kręgach kultury alternatywnej, toczyliśmy rozmowy o modelach relacji władzy wewnątrz naszych grup i organizacji. Ta część ruchu ekologicznego widziała dwóch symbolicznych wrogów: autorytaryzm i wynikającą z tej postawy przemoc wobec przyrody.

Aby nie popaść w nostalgię, dodam, że o pozycji niezbyt licznego ruchu ekologicznego przesądzał nie tylko ruch sam w sobie, ale i rezonans społeczny, związany ze znacznym upowszechnieniem świadomości ekologicznej, którą dodatkowo zwiększyła katastrofa w Czarnobylu. W ramach poszczególnych organizacji i między nimi istniały podziały polityczne i światopoglądowe, a obok współpracy zdarzały się konflikty. Jednocześnie na rzecz tworzenia zbiorowej zielonej tożsamości działało współuczestnictwo w konkretnych akcjach. Plan budowy elektrowni atomowej i składowiska odpadów radioaktywnych w Żarnowcu w drugiej połowie lat 80. wpłynął na konsolidację ruchu ekologicznego w podobnym stopniu, jak na rozwój ruchu feministycznego w latach 90. wpłynęło pozbawienie kobiet prawa do aborcji przez zdominowany przez postsołidarnościową prawicę i liberałów parlament, spełniający żądania Kościoła katolickiego. Na spotkaniach dotyczących polityki energetycznej spotykali się zieloni w garniturach, punki i hippisi.

Także dzisiaj Rospuda stała się czymś więcej niż tylko protestem przeciwko niszczeniu unikalnego lokalnego obszaru przyrody. Wspólne akcje wytwarzają polityczne „My”. Jednak powstanie tej wspólnej tożsamości wymaga inwestycji w budowanie świadomości, gromadzenie wiedzy krytycznej, tworzenie sieci relacji między ludźmi i organizacjami.

Ruch ekologiczny lat 80. działał w innych niż współczesne warunkach materialnych. Większość młodych ludzi uczyła się albo pracowała i miała sporo wolnego czasu. Pracowano na jeden etat. Przed elektroniczną rewolucją technologiczną, która zwiększyła tempo życia ludzkiego (a także cyrkulacji produktów i pieniądza), życie codzienne toczyło się wolniej i mieliśmy więcej kontroli nad własnym czasem. Bardzo dużo można było zrobić bez pieniędzy. Koszty komunikacji (od rachunków za telefon do biletów kolejowych) były niższe niż obecnie. W lokalnych ośrodkach kultury czy szkołach można było uzyskać bezpłatnie lokal na działalność. Nie musieliśmy poświęcać czasu na pisanie wniosków o granty. Dzięki temu między innymi ruch „Wolę Być” w ciągu 3 lat od pierwszego spotkania rozwinął się w sieć 24 grup lokalnych. Pamiętam, że jeszcze w 1991 roku przywoziłam z Holandii 120 dolarów, za które można było zorganizować tygodniowe spotkanie ruchu dla 50 osób. Niemniej żaden ruch nie powstaje samorzutnie (jak sugeruje Piotr Gliński, mając prawdopodobnie na myśli samorzutność jako niezależność od państwa). Na ruch społeczny składają się organizacje czy grupy i przedsięwzięcia. Stworzenie grup wymaga „niewidzialnej” pracy organizacyjnej, łączenia ludzi i idei i materializacji tych związków w nowe organizacyjne formy. Nawet dzisiaj nie wystarczy samo zarejestrowanie się w KRS-ie.

Co dziś dzieje się z ludźmi i organizacjami z tamtego okresu? Wprawdzie niektóre organizacje nie przetrwały, ale nawet pobieżne poszukiwanie w internecie pozwala odkryć ciągłość organizacyjną i stałą obecność osób aktywnych już ponad 20 lat temu. Ruch ekologiczny lat 80. wcale nie umarł, natomiast został zmarginalizowany i stracił widzialność społeczną. Przy tym przeobrażeniu uległy jego język, model organizacyjny i warunki działania. Za symboliczną datę końca ruchu ekologicznego z lat 80. można uznać moment, w którym Fundacja Wspierania Inicjatyw Ekologicznych ogłosiła, iż z przyczyn finansowych zaprzestanie wydawać „Zielone Brygady”. Pierwsze pismo ekolożek i ekologów, które wychodziło od 1989 roku, artykułowało i reprezentowało zbiorową tożsamość

ruchu ekologicznego, łączyło ekologię z krytyką polityczną i społeczną i było jednym z pierwszych miejsc, w których spotykały się ekologia z feminizmem, przestało się ukazywać w 2007 roku.

Przepisywanie historii i polityczne stawki

„W początkach lat 90. było zresztą nieźle, był stolik ekologiczny (przy Okrągłym Stole – red.), który podyktował pewne sensowne kierunki, i wszyscy mieli nadzieję na dobrą ochronę wartości przyrodniczych. W miarę jednak, jak czas upływa, polityka przestaje się interesować tym problemem” – mówił prof. Andrzejewski w wywiadzie dla „Dzikiego Życia”⁴.

W narracjach o totalitaryzmie i zacofanym PRL-u i w kolejnych rekonstrukcjach historii transformacji nie ma miejsca dla ruchu ekologicznego. Aktywność i szeroki zasięg tego ruchu nie pasują do przekazu o bezwolnych ofiarach komunizmu. Ruch ekologiczny znalazł się w głębokim cieniu potężnego dyskursu o transformacji jako przejściu od totalitaryzmu, ubóstwa, zacofania do wolnego rynku i demokracji. Wprawdzie, jak wspomniałam, obok dużego Okrągłego Stołu, przy którym zasiedli przedstawiciele „Solidarności”, Kościoła oraz PRL-owskiego establishmentu, był także „ekologiczny stolik”, ale w pierwszym rozdaniu władzy politycznej zielona perspektywa i wcześniej konstruowane programy zostały odsunięte w niebyt. Nie stało się to bez przyczyny, jednak nie była nią słabość organizacji ekologicznych. Legitymizujący transformację dyskurs wyprodukowany był w oparciu o prastary kulturowy wzór narracji o wygnaniu i powrocie do Edenu. Z komunistycznego piekła przechodzimy przez czyszcenie transformacji, aby wejść do wolnorynkowego raju. W ramach tego dyskursu

⁴ O świadomości ekologicznej Polaków – z prof. Romanem Andrzejewskim rozmawiają Marta Lelek i Janusz Korbel, „Dziki Życie” 3/69, 2000, <http://pracownia.org.pl/dziki-zycie-numery-archiwalne>.

winnym niszczenia środowiska mógł być tylko PRL, a powrót do „Europy” (w cudzysłowie, bo Europa tego dyscyplinującego do neoliberalnych przemian dyskursu nie jest Europą rzeczywistą) miał automatycznie prowadzić do jego naprawy. W raju panuje przecież stan dziewiczej czystości. Jeśli wiąże się z tym przejściowe koszty, to, jak wypowiedział się przed Szczytem Ziemi jeden z polskich ministrów ochrony środowiska, najpierw musimy się wzbogacić, a potem nas będzie stać na ochronę środowiska. Stwierdzenie to, nie będące skandalicznym wyjątkiem, ale regułą, odzwierciedla mentalność politycznych elit III i IV RP. Tkwi w nim jednak ziarno innej prawdy: o niekompatybilności pogoni za majątkiem i kultu wzrostu gospodarczego, mierzonego przepływem pieniądza przez gospodarkę (PKB), z alternatywnymi projektami trwałego rozwoju.

Rekonstrukcja historii to gra o dużą polityczną stawkę. Niedawno ruch ekologiczny został po raz kolejny uśmiercony, tym razem jako przypadkowa ofiara w polu ognia kolejnej politycznej wojny. W krytyce mitu założycielskiego III RP o zwycięstwie nad komunizmem Cezary Michalski pisze, iż „społeczeństwo polskie doczołgało się do roku 1989 kompletnie spacyfikowane i pasywne”⁵. W parciu do władzy pokolenie młodych moherów z „Dziennika” musi uśmiercić swoich ojców przez przepisywanie historii, aby zrobić sobie miejsce na scenie politycznej. W tej rozgrywce ekologia (jako projekt polityczny i wiedza interdyscyplinarna) zostaje ponownie wykasowana, niedopuszczona do nowego rozdania władzy politycznej. Inne otwarcie w tej samej grze proponują tropiciele/producenci grzechów z IPN-u, którzy dokonują rezurekcji ruchu ekologicznego, ale przez takie przepisanie jego historii, aby nie był to ruch antysystemowy, ale ruch antykomunistyczny. Takie ujęcie redukuje ruch ekologiczny i zamyka go w historycznej klatce politycznego dyskursu. Nie pozwala dostrzec

⁵ Cezary Michalski, *Długie pożegnanie z „Solidarnością”*. Krytyka mitu założycielskiego III RP o zwycięstwie nad komunizmem, „Europa”, dodatek do „Dziennika”, 18-19.10.2008, s. 2-3.

i zadać nowych pytań: o zmiany wzorów produkcji i konsumpcji, o wyjście z neoliberalnego kalkulacyjnego przejęcia ekologii, gdzie wartość środowiska jest zredukowana do monetarnej wyceny i przerzucona na jednostki; nie ma tu miejsca na stare pytania o uczestniczącą demokrację.

W neoliberalnym tygłu

W latach 90., szczególnie w drugiej ich połowie, ruch ekologiczny oraz język, jakim się posługiwał, dyskurs i zasady organizacji zaczęły się przeobrażać. Nie tylko w Polsce ruch ekologiczny, a przynajmniej jego główny nurt, wszedł w zasięg neoliberalnej polityki prawdy, a w pewnym zakresie także ją współtworzył. Na początku lat 90. biznes i państwo poddawano krytyce za pomijanie lub wyłączenie kosztów środowiska w biznesplanach i kalkulacjach dochodu narodowego. W leksykonie i wyobraźni neoklasycznych ekonomistów środowisko ma funkcję zasobu albo zlewu na odpady. Z biegiem lat koszty te zostały włączone do rachunków narodowych, ale stało się tak na zasadach ekonomii i w kontekście nowego dyskursu, który wyceniał przyrodę przez monetarne kalkulacje. Jednym z przykładów o globalnym zasięgu są raporty Banku Światowego, szacujące wartość środowiska⁶. Przyroda została przekształcona w towar, a koszty zostały przerzucone na ostatecznego użytkownika (konsumentkę i konsumenta), zdejmując ciężary i ograniczenia z tych, którzy z wykorzystania środowiska czerpali dochody. Wraz z nowym dyskursem zaszły zmiany w polityce ochrony środowiska – od „kieruj i kontroluj” (*command and control*) do samoregulacji przez biznes, czyli do zarządzania przez dobrowolne umowy, kodeksy postępowania, zasady etycznego biznesu. Przy takim zarządzaniu mechanizmy weryfikacji wdrażania tych zasad i sankcje za ich nieprzestrzeganie praktycznie nie istnieją.

Michel Foucault dostarcza nam cennego krytycznego narzędzia do nazwania problemu ekonomizacji życia i polityki, wskazując, iż neoliberalizm poddaje ra-

⁶ Ismael Serageldin, *Sustainability and the Wealth of Nations*, World Bank 1996.

cjonalności ekonomicznej wszystkie dobra publiczne i domeny życia społecznego, a regulatywnym ideałem staje się przedsiębiorstwo. Wolny rynek funkcjonuje jak permanentny trybunał ekonomiczny, który wymaga ustawicznego dostosowania⁷. O ile w drugiej połowie lat 90. neoliberalny dyskurs zarządzania globalizacją (*global neoliberal governance*) był poddany intensywnej krytyce, w Polsce warunki polityczne nie sprzyjały takiej krytyce. Na przykład każda krytyka „wolnego rynku” była wyśmiewana jako nostalgia za komuną. Neoliberalnemu przeobrażaniu państwa i gospodarki towarzyszyły analogiczne projekty nowej podmiotowości. Neoliberalizm rządzi, posługując się wolnością, upoważniając jednostki do życia na własny rachunek. Wolność nie jest stanem czy prawem, ale technologią władzy, która służy przeobrażaniu społeczeństwa w rynek. Społecznie nastawiony, a więc niezaradny frajer czy frajerka z PRL-u przeciwstawiani są nowym, zaradnym, bogatym, dyspozycyjnym w trybie 24/24, wiecznie elastycznym, skupionym na własnym interesie i zdolnym do życia na własny rachunek podmiotom. Miarą wartości jednostki staje się jej zdolność nabywczą, a nowymi regulatywnymi ideałami – bogaty biznesmen i bogata bizneswoman. W tym kontekście ruch ekologiczny w swoim wydaniu z lat 80. mógł albo przechować się w niszowych organizacjach, albo dostosować się do nowego porządku.

Neoliberalizm przekształcił także zasady organizacji i relacje władzy w organizacjach. Zamiast grup nieformalnych, nastawienia wspólnotowego i ruchów społecznych pojawiły się NGOsy. Prawodawca i fundatorzy wymuszają, aby organizacje pozarządowe funkcjonowały na tych samych zasadach, co firmy. Zarząd odpowiada wobec fundatorów, wobec Rady Fundacji albo członków stowarzyszenia, nie odpowiada wobec ludzi czy za stan środowiska, w imieniu których występuje. Czas działaczy i ich wyobrażenia są efektywnie zagospodarowywane na pisanie i rozliczanie projektów, podobnie jak w przedsiębiorstwach przygotowywane są

⁷ Michel Foucault, *Naissance de la biopolitique. Cours au Collège de France 1978-79*, Gallimard, Paris 2004.

biznesplan i rozliczenia strat i zysków. Nikt niczego *explicite* nie zabrania, ale oferowana jest tylko jedna ścieżka, którą można pójść. Nie ma tu miejsca na dobro wspólne, a tylko na interes. Na organizacjach pozarządowych wymusza się funkcjonowanie w roli reprezentacji grupy interesu, wyposażonej do konkurowania zarówno o granty, jak i o polityczne korzyści. Skutkiem tego jest przeobrażanie społeczeństwa obywatelskiego w rynek. Procesowi temu sprzyjają szkolenia liderów i liderek, które od wewnątrz prywatyzują ruch, sprowadzając go do zbioru jednostek. Każdy ruch potrzebuje przywódczyni czy liderów, problem w tym, że działania te zarazem wpisują się w neoliberalne trendy hiperindywidualizacji i wzmacniają je. Lobbying (skądinąd potrzebny) i komunikacja za pomocą celebrytów wyparty strategię budowania ruchu społecznego. Jednocześnie działalność ruchu ekologicznego i innych ruchów społecznych w dużej mierze kształtowana jest przez agendy odległych fundatorów czy globalne priorytety, co przekierowuje działalność organizacji w ich stronę, podczas gdy lokalne projekty, które nie pasują do tej agendy, nie pozyskują środków i nie są realizowane. W rezultacie pewne sprawy czy metody działania znikają z ekologicznego dyskursu, o innych zaś, pod neoliberalną presją, w ogóle nie można mówić.

Od pewnego czasu pojawiają się zmiany: w wyobraźni społecznej osłabił dyktat neoliberalnego dyskursu transformacji, który nakazywał, aby NGOsy zajmowały się filantropią, działalnością charytatywną i pomocniczą, bo za politykę odpowiadają partie polityczne, a krytyka jest niedozwolona i niepotrzebna. Dzisiaj można już mówić o politycznym przeciagu, który chwije starymi myślowymi nawykami. Kiedy jednak otworzyć okna, okazuje się, że neoliberalizm zostawił ogromne spuściznę.

Nowy początek?

Każdy ruch potrzebuje swojej idei. Jedną z przeszkód w odbudowie pozycji ruchu ekologicznego (bez którego poparcia żadna partia zielonych nie wejdzie na scenę polityczną) jest brak ekologiczno-społecznej krytyki transformacji. Z wyjątkiem takich przedsięwzięć, jak pismo oraz serwis internetowy „Recykling Idei”, nowe alternatywne inicjatywy nie integrują ekologii i feminizmu w swojej codziennej działalności. Są pewne krytyki szczegółowe, na przykład raporty na temat polityki transportowej, ale brakuje analiz zmian wzorów produkcji i konsumpcji, obejmujących również ich skutki społeczne i ekologiczne. Nie ma zielonej krytyki wolnorynkowego ekscesu, który przeobraził ruchy społeczne i sprywatyzował dobra wspólne. Krytyki społeczno-ekologiczne mają charakter lokalny i rzadko idą w parze z krytykami demokratycznego deficytu transformacji, a właściwie demokracji jako spektaklu, który maskuje prywatny interes. Polska transformacja nie była szczególnym historycznym wyjątkiem, jak chce neoliberalno-konserwatywny mit transformacji jako cudownego przejścia od totalitaryzmu do wolności, możliwego dzięki kilku liderom demokratycznej opozycji. Transformacja wpisuje się w procesy ekonomicznej globalizacji, jak programy strukturalnego dostosowania krajów Południa i restrukturyzacja „starych” krajów OECD, stając się jedną z ich lokalnych postaci. Także u nas transformacji nadano neoliberalną formę. Procesy te trzeba nazwać po imieniu i poddać je ekologicznej interpretacji. Bez takich analiz nie będzie można odnieść się do bólu społecznego, wyhamować procesu niszczenia przyrody i podstaw życia, dostrzec alternatywnych ścieżek rozwoju czy zaproponować politycznego projektu, z którym mogłyby się utożsamić szersze rzesze ludzi. Polityczna niewidzialność została na zielonych wymuszona, a jej przewyciężenie wymaga nowej, społecznie usytuowanej wiedzy krytycznej.

Ewa Charkiewicz – animatorka Ruchu Ekologiczno-Pokojowego „Wolę Być”; organizatorka pierwszej rowerowej demonstracji w Warszawie w 1986 roku. Od 1988 roku pracowała na uniwersytetach w Holandii, USA i w Indiach. Koordynatorka międzynarodowych sieci i projektów badawczych dotyczących trwałych podstaw życia, proekologicznych wzorów produkcji i konsumpcji, także koordynatora External Gender Consultative Group Banku Światowego. Autorka i współautorka książek, w tym *Women, Environment and Sustainable Development. Towards Theoretical Synthesis* (1994), *Sustainable Production and Consumption. Concepts, Policies, Actions* (2001). Od 2005 dyrektorka Fundacji Imienia Tomka Byry Ekologia i Sztuka, współzałożycielka Think Tanku Feministycznego.

4.

Zieloni 2004 – długi marsz w paru odstępach

Agnieszka Grzybek

Dariusz Szwed

Geneza

Zieloni 2004 powstał jako partia protestu. Na scenie politycznej pojawili się w dość specyficznym momencie, gdy zaczęły się ujawniać pierwsze symptomy kryzysu, związanego z narastającym niezadowoleniem z przebiegu polskiej transformacji, które nałożyły się na powszechną krytykę rządów postkomunistycznej lewicy.

Z jednej strony architektki polskiej transformacji dopuścili do narastania nielegitymizowanych nierówności ekonomicznych i społecznych oraz związanego z tym poczucia, że polska demokracja nie daje szans rozwojowych wielu grupom społecznym, skazując je na pauperyzację, wykluczenie i niemożność dostępu do dobrodziejstw transformacji. Do takich grup należeli robotnicy dużych zakładów przemysłowych, tracący pracę w wyniku prywatyzacji, pracownicy budżetówki (nauczyciele, lekarze, pielęgniarki), w przypadku których pogorszeniu statusu materialnego towarzyszyło obniżenie prestiżu wykonywanego zawodu, ale także kobiety. Prawa kobiet ograniczono na początku lat 90., wprowadzając restrykcyjną ustawę antyaborcyjną. Dodatkowo ich sytuacja na rynku pracy była znacznie gorsza od sytuacji mężczyzn (większe ryzyko bezrobocia, niższe płace, trudności w dostępie do awansu, szkolenia zawodowego i in.). Dla debaty publicznej lat 90. charakterystyczne było milcząco przyjęte założenie, że o kosztach transformacji (społecznych, ekologicznych i in.) się nie dyskutuje, bo są nieuniknione i powinny być solidarnie płacone przez wszystkich. Unikano zatem artykulacji konfliktów społecznych (które i tak tliły się pod powierzchnią przemian), widząc w nich postawę roszczeniową i hamulec transformacji¹. Do roku 2004 w polskiej debacie

¹ Znakomitą analizę przyczyn klęski lewicy i liberalistów i zwycięstwa prawicy, której udało się zagospodarować gniew niezadowolonych z kształtu polskiej transformacji, przedstawia amerykański socjolog polityczny David Ost w książce *Klęska „Solidarności”*. *Gniew i polityka w postkomunistycznej Europie*, tłum. Hanna Jankowska, Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA, Warszawa 2007.

publicznej dominował język „powrotu do normalności”, któremu nic nie mogło przeszkodzić. Celem, dla którego wiele poświęcono, był „powrót Polski do Europy”: przystąpienie do NATO i Unii Europejskiej. Zdaniem architektów tego procesu warto było zań zapłacić każdą cenę.

Z drugiej strony w okresie rządów postkomunistycznej lewicy SLD-UP (2001-2005) doszło do sprzeniewierzenia się lewicowej orientacji i odejścia od głoszonych w trakcie kampanii haseł. Rząd identyfikowany jako lewicowy prowadził politykę antysocjalną (np. podnosząc ceny biletów dla studentów, likwidując Fundusz Alimentacyjny itp.), porzucił zasadę świeckości państwa, zezwalając, by hierarchowie Kościoła katolickiego ingerowali w życie publiczne, zaangażował się w wojnę w Iraku, doprowadził do zapaści służby zdrowia. Na to wszystko nałożyły się korupcyjne praktyki i styl sprawowanej władzy, co ostatecznie zaowocowało dramatycznym spadkiem poparcia w sondażach, ale przede wszystkim dyskredytacją polityki i utratą zaufania do jej aktorów.

Na fali rozczarowania bieżącą polityką, niewywiązywania się z obietnic wyborczych, krytycyzmu wobec przemian po 1989 roku, których beneficjentami nie mogły być wszystkie grupy społeczne na równych zasadach, zrodził się pomysł zbudowania partii Zielonych.

Warto jednak zaznaczyć, że nie był to pierwszy zielony projekt po 1989 roku. Od początku lat 90. działacze środowisk ekologicznych kilkakrotnie podejmowali próby stworzenia partii Zielonych, która miałaby przede wszystkim zajmować się działaniami proekologicznymi i na rzecz ochrony środowiska. Co ciekawe, na początku lat 90. (np. w wyborach samorządowych w 1990 roku) podnoszone przez ekologów kwestie cieszyły się sporym poparciem społecznym, choć samej ekologii nie uznawano za kwestię polityczną. Charakter polskich przemian ustrojowych, terapia szokowa Balcerowicza i wynikające z niej skutki reform gospodarczych – masowe bezrobocie, pauperyzacja wielu grup

społecznych, obniżony standard życia – spowodowały, że zaczęto marginalizować ekologię, traktując ją jako „luksus”, na który będzie sobie można pozwolić dopiero po zbudowaniu społeczeństwa wolnorynkowego. Podobnie rzecz się miała z prawami kobiet, które musiały ustąpić przed prymatem budowania wolnego rynku. Między innymi dlatego, ale także z winy podziałów wewnętrznych nie udało się zbudować silnego środowiska, które mogłoby skutecznie zawalczyć o głosy wyborców². Ostatecznie wielu aktywistów ekologicznych wycofało się z działalności *stricte* politycznej, część zaangażowała się w Forum Ekologiczne Unii Wolności.

Tym jednak, co od początku różniło projekt Zielonych 2004 od poprzednich zielonych inicjatyw, było znacznie szersze spektrum wartości, do których chcieli się odwoływać, i otwarcie na nowe, nie tylko ekologiczne środowiska. W tworzenie partii zaangażowały się osoby działające w pozarządowych organizacjach ekologicznych, feministycznych, na rzecz praw człowieka, LGBT, ale także w partiach politycznych, przede wszystkim w Forum Ekologicznym dawnej Unii Wolności, oraz w dawnej opozycji demokratycznej – w ruchu „Wolność i Pokój”³. Jakkolwiek organizacje pozarządowe oficjalnie nigdy nie zadeklarowały współpracy z nowo powstającą partią, to jednak wśród osób uczestniczących w zielonym projekcie można było spotkać przedstawicieli m.in. Klubu Gaja, Ligi Ochrony Przyrody, Polskiego Klubu Ekologicznego, Amnesty International, Fundacji Kobiecej eFka, Kampanii Przeciw Homofobii i in. Co ważne, poparcia Zie-

² Na skutek podziałów środowiskowych w wyborach parlamentarnych w 1991 roku zieloni wystawili dwie listy: Polska Partia Ekologiczna – Zieloni zdobyła 0,82% głosów, a Polska Partia Ekologiczna – Polska Partia Zielonych – 0,63% głosów. W efekcie dalszych podziałów przed 1995 rokiem istniało aż 17 partii zielonych w Polsce, ale żadnej nie udało się trwale zapisać w świadomości społecznej.

³ „Wolność i Pokój” – ruch społeczno-polityczny, opozycyjny wobec reżimu komunistycznego, działający w latach 1985-1992. Zapoczątkował go protest (głodówka) w obronie studenta skazanego na więzienie za odmowę złożenia przysięgi wojskowej. Prowadził m.in. działania pacyfistyczne i proekologiczne, organizując protesty przeciwko budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu.

lonym udzieliły znane feministki (publicystki, pisarki i działaczki), które pojawiły się na Zjeździe Założycielskim we wrześniu 2003 roku i zostały członkiniami-założycielkami partii: Kinga Dunin, Agnieszka Graff i Kazimiera Szczuka.

Jedną z ważniejszych kwestii, które musieli rozstrzygnąć twórcy Zielonych 2004, był charakter nowego zielonego projektu. Spór toczył się o to, czy ma on mieć charakter szerokiego ruchu społecznego, czy też powinna się z niego wyłonić nowa partia polityczna. W zasadzie spierano się o to aż do samego kongresu założycielskiego, który odbył się 6-7 września 2003 roku. Osoby, które wołały, by Zieloni 2004 pozostali ruchem społecznym, wychodziły z założenia, że ludzie w Polsce są zbyt zmęczeni polityką, stracili zaufanie do partii politycznych i polityków, dlatego – ich zdaniem – ruch zdecydowanie lepiej zapewniłby realizację zielonych celów. Z kolei dla zwolenników tworzenia partii formuła ruchu społecznego była zbyt amorficzna, brak jej było mocnego rdzenia, konturów i skuteczności. Ludzie potrzebowali konkretnej inicjatywy, do której mogliby się włączyć. Mało kto zdawał sobie sprawę z realiów prawno-finansowych, wyznaczających ramy funkcjonowania partii politycznych. Polska polityka okazała się obiegiem zamkniętym, w którym trudno jest zaistnieć nowym aktorom politycznym. Niemniej jednak zwyciężyła opcja utworzenia partii politycznej, która ostatecznie została zarejestrowana 24 stycznia 2004 roku, a jej pierwszymi współprzewodniczącymi zostali parytetowo: Magdalena Mośiewicz i Jacek Bożek.

Drugi fundamentalny spór dotyczył nie formy działania, lecz zagadnień programowych, a kwestia prawa kobiet do decydowania o własnym ciele podzieliła twórców Zielonych 2004 na dwa stronnictwa, z których jedno opowiadało się za wyraźnym zadeklarowaniem poparcia dla liberalizacji przepisów antyaborcyjnych, podczas gdy drugie sprzeciwiało się umieszczeniu tej kwestii w programie. Ostatecznie w *Zielonym Manifeście*, dokumencie programowym przyjętym na zjeździe założycielskim, znalazł się zapis następującej treści: „(...) jesteśmy za do-

prowadzeniem do stanu, w którym prawo nie reguluje kwestii aborcji, pozostawiając miejsce dla indywidualnego rozstrzygnięcia”, co zadecydowało o wycofaniu się części członków-założycieli z dalszych prac związanych z budową partii.

W *Zielonym Manifeście* natomiast jako podstawowe cele wymienione zostały: „poszanowanie praw człowieka i respektowanie zasad zrównoważonego rozwoju społecznego, ekologicznego i gospodarczego, a zwłaszcza: sprawiedliwość i solidarność społeczna, społeczeństwo i państwo obywatelskie, ochrona środowiska i jego zasobów dla przyszłych pokoleń, równy status płci i wieku, poszanowanie różnorodności narodowej, kulturowej i religijnej, poszanowanie praw mniejszości, rozwiązywanie konfliktów bez użycia przemocy”. Wokół tych zasad i wartości został zbudowany program Zielonych, a nowo utworzona partia miała być skutecznym narzędziem ich wzmacniania w Polsce – poprzez swoje działania chciała przywrócić polityce wymiar moralny i obywatelski.

Pozarządowy rodowód i silne związki z ruchami społecznymi, a także wyraźne ujęcie w *Zielonym Manifeście* kwestii praw kobiet oraz praw mniejszości seksualnych i łączenie ich z filozofią zrównoważonego rozwoju społecznego, ekologicznego i gospodarczego dają podstawy, by doszukiwać się podobieństw między Zielonymi 2004 a innymi partiami Zielonych, których znak rozpoznawczy stanowią koncentracja wokół wartości postmaterialnych i elektorat wywodzący się z nowej klasy średniej. Znamienne, jak jednoznacznie na pojawienie się Zielonych zareagowały polskie media, sytuując nas po stronie pokoleniowego buntu i sprzeciwu wobec zastygłych ram politycznych układów, widząc w nas głos pokolenia, które miałoby przełamać „kształtujący politykę historyczny podział na partie postkomunistyczne i postsolidarnościowe”⁴.

⁴ Amelia Łukasiak, Piotr Zaremba, *Barwy Zielonych*, „Newsweek Polska”, nr 44/2003, 2.II.2003.

Od protestu do mainstreamu

Od samego początku program działania Zielonych 2004 był budowany na czterech filarach: (1) zrównoważony rozwój gospodarczy i społeczny, (2) prawa człowieka i prawa kobiet, (3) sprzeciw wobec wojny i siłowego rozwiązywania konfliktów, (4) demokracja partycypacyjna. Na tle tzw. „szarych partii” wyróżnialiśmy się radykalizmem żądań i łączeniem działalności politycznej z ulicznymi protestami, odwołując się w ten sposób do tradycji oddolności ruchu. Obok pierwszej kampanii „Do Unii po zmiany” oraz późniejszych „Zielony transport” i „Zatrzymaj zmiany klimatyczne. Wybierz zielone rozwiązania” – promujących odpowiednio: politykę transportową zgodną z zasadą zrównoważonego rozwoju i działania na rzecz ochrony klimatu – do najgłośniejszych akcji Zielonych należał Dzień Wolności Wypowiedzi, organizowany w lutym i marcu 2005 roku, kiedy przed polskim sądem toczył się proces Doroty Nieznańskiej⁵. W dniu, kiedy toczyła się rozprawa, Zieloni w największych miastach w Polsce zorganizowali przed budynkami sądów pikety, protestując w ten sposób przeciw ograniczaniu prawa do twórczości i wolności wypowiedzi. W listopadzie tego samego roku byliśmy współorganizatorami wieców solidarności z Poznaniem, zorganizowanych w dziesięciu największych miastach w Polsce w proteście przeciwko brutalnej akcji policji, która spacyfikowała Marsz Równości i Tolerancji w Poznaniu (w największym, warszawskim udział wzięło ponad 2 000 osób). Z kolei na przełomie 2006 i 2007 roku Zieloni wraz ze środowiskami kobiecymi, organizacjami feministycznymi protestowali przeciwko dokonanej przez partię skrajnej prawicy próbie wprowadzenia do Konstytucji RP zmian zmierzających do wprowadzenia całkowitego zakazu aborcji.

⁵ Artystce postawiono zarzut obrazy uczuć religijnych z powodu instalacji *Pasja*. W pierwszym procesie uznano ją za winną i skazano na prace społeczne.

Część komentatorów sceny politycznej właśnie w radykalizmie Zielonych, dostrzegającym zarówno w charakterze działań, jak i w postulatach związanych z kwestiami tożsamościowymi (m.in. prawa kobiet, prawa mniejszości seksualnych), upatruje przyczyn braku większego poparcia. Ich zdaniem polskie społeczeństwo jest jeszcze zbyt konserwatywne, niegotowe, by przyjąć proponowaną przez Zielonych wizję kształtowania tożsamości wspólnoty, otwartą na różne propozycje światopoglądowe, opartą na inkluzji Innnych i zapewnieniu im pełni praw. Warto jednak zaznaczyć, że owe „radykalne” postulaty, do których niektórzy zaliczają nawet postulaty społecznego egalitaryzmu i sprawiedliwości społecznej, w polityce większości krajów Unii Europejskiej od dawna są mainstreamem.

Konserwatyzm polskiego społeczeństwa to kwestia dyskusyjna, ale faktem jest, że nie wykształciła się u nas orientacja postmaterialistyczna, charakterystyczna dla przełomu lat 60. i 70., kiedy w państwach zachodnioeuropejskich powstawały partie Zielonych. Badania Polskiego Generalnego Sondażu Społecznego z połowy lat 90. pokazują, że w polskim społeczeństwie dominuje orientacja materialistyczna, a tylko 3,5% respondentów jest zwolennikami wartości postmaterialnych. Dla wyborców w większym stopniu liczą się kwestie materialne oraz problemy bezpieczeństwa ekonomicznego i socjalnego niż lepsza jakość życia, uwrażliwienie na kwestie związane z prawami człowieka, zagrożeniami społecznymi i ekologicznymi.

Wspomniane wyżej czynniki z pewnością w jakimś stopniu przyczyniły się do tego, że dotychczas Zielonym nie udało się zdobyć mandatów w wyborach do Parlamentu Europejskiego (2004), w wyborach do parlamentu krajowego (2005) ani w samorządowych (2006). Równie istotną, o ile nie decydującą przeszkodą są silne bariery instytucjonalne, wynikające z niekorzystnej dla małych ugrupowań ordynacji wyborczej, przyjętej w 1993 roku jako antidotum mające zapobiec rozdrabnianiu sceny politycznej w Polsce. Bariera jest nawet nie tyle sam

pięcioprocentowy próg wyborczy, którego przekroczenie uprawnia do udziału w podziale mandatów w wyborach różnego szczebla, ile konieczność zebrania podpisów poparcia od wyborców pod listami kandydatów, co jest warunkiem zarejestrowania listy w danym okręgu⁶. A to oznacza, że zanim na dobre rozkręci się kampania, trzeba najpierw pokonać etap selekcji wstępnej. W Polsce, w której poziom kapitału społecznego jest najniższy wśród państw członkowskich UE, ludzie mają nikłą wiedzę o mechanizmach demokracji, z biegiem lat przejawiają coraz większą niechęć do polityki i polityków i jak ognia boją się złożyć swój podpis pod listą kandydatów, gdyż sądzą, że tym samym wstępują do partii politycznej, – wymóg zbierania podpisów faworyzuje duże ugrupowania. Te mechanizmy sprawiają, że wyborcy nie do końca mają realny wybór: część ofert programowych w ogóle nie zostaje dopuszczona do etapu głosowania.

Zieloni z jednej strony zmagają się z barierami instytucjonalnymi, utrudniającymi im zaistnienie w szerszej świadomości społecznej, z drugiej próbują przełamać swój wizerunek jako formacji kontrkulturowej, a nie politycznej, i nawiązanej wyłącznie na promowanie określonego stylu życia. Z obrzeży kontrkultury chcą wejść do mainstreamu. O ile pierwsze zielone projekty z początku lat 90. koncentrowały się wyłącznie na problemach związanych z ochroną środowiska, o tyle w działalności Zielonych 2004 (przynajmniej w pierwszej fazie) na plan pierwszy wysunęły się kwestie wolnościowe i tożsamościowe (wolność słowa, liberalizacja prawa aborcyjnego, prawa kobiet, prawa mniejszości seksualnych). Taką też łatkę – lewicy obyczajowej, partii „gejów, lesbijek i feministek” – przypięły Zielonym polskie media. Teraz, głównie za sprawą obrony Doliny Rospudy, podnoszenia kwestii związanych z bezpieczeństwem energetycznym,

⁶ W wyborach do Parlamentu Europejskiego warunkiem rejestracji listy w danym okręgu jest zebranie 10 000 podpisów wyborców zamieszkujących stale w tym okręgu; w wyborach do parlamentu krajowego 5 000 podpisów pod listą kandydatów na posłów i 3 000 pod kandydaturą do Senatu.

protestom przeciwko planom budowy elektrowni jądrowej i instalacji elementów tarczy antyrakietowej w Polsce, Zielonym udało się przynajmniej częściowo odczarować ten dotychczas jednowymiarowy wizerunek. Zdecydowanym sukcesem było powiązanie partii w świadomości zbiorowej z ruchem społecznym na rzecz obrony Rospudy. Zieloni nie tylko brali aktywny udział w protestach, sami je organizowali (np. w lutym 2007 roku w dniu wizyty w Warszawie przewodniczącego Komisji Europejskiej, José Manuela Barroso), ale także wykorzystali ścieżkę instytucjonalną, składając petycję do Komisji Petycji w Parlamencie Europejskim i współpracując z grupą Zieloni/Wolne Przymierze Europejskie w PE. Obecnie Zieloni budują swój wizerunek jako kompetentnej partii europejskiej, zajmującej się kluczowymi wyzwaniami dotyczącymi zrównoważonego rozwoju – integrowania kwestii społecznych, ekologicznych i gospodarczych, czego przykładem jest choćby zaproponowany w październiku 2008 roku „Pakiet efektywności energetycznej”.

Czy Zieloni mogą być polską Nową Lewicą?

Konsolidacja sceny politycznej w Polsce trwa nieprzerwanie od 1993 roku, od przyjęcia wspomnianej wcześniej ordynacji wyborczej, której celem było zapobieżenie rozdrobnieniu polskiej sceny politycznej, oraz ustawy o partiach politycznych z 1997 roku. Niektórzy komentatorzy polityczni mówią wręcz o zjawiskach kartelizacji i oligarchizacji – polska polityka to w zasadzie obieg zamknięty, który uniemożliwia zaistnienie nowym aktorom politycznym. Istniejące partie polityczne dzielą się pieniędzmi z budżetu i nie mają żadnego interesu w tym, żeby dopuścić do gry nowe podmioty. I jakkolwiek intencje uregulowania sceny politycznej, uczynienia jej bardziej przewidywalną, tak by umożliwiła skuteczne rządzenie, można uznać za słuszne, to jednak – jak pisze Adam Ostolski – „jest różnica między tezą, że lepiej, aby w Sejmie było trochę mniej podmiotów, a tezą, że im mniej podmio-

tów w polityce, tym lepiej”⁷. Dodatkowo efekt konsolidacji sceny politycznej wzmacniają media, które w okresie kampanii wyborczej koncentrują się wyłącznie na partiach prowadzących w sondażach, natomiast po wyborach – na rządzącej koalicji i głównej partii opozycyjnej.

Czy to znaczy, że Polska jest skazana na dwubiegunowość sceny politycznej, a Zieloni nie mają szans z przebicciem się ze swoją ofertą programową? Że w Polsce nie ma miejsca na projekt lewicowy? Zdaniem niektórych socjologów podział ten można przełamać, bowiem w ramach opozycji PO-PiS nie uda się wyartykułować pewnych problemów i konfliktów ważnych dla ludzi i to może być szansą dla lewicowych ugrupowań⁸. Na poparcie tej tezy można przytoczyć wyniki sondażu, z którego wynika, że Polacy tęsknią za lepszą lewicą. Prawie 2/3 respondentów stwierdziło, że w Polsce potrzebna jest partia, która pomagałaby najbardziej potrzebującym i wykluczonym, zajęłaby się wyrównywaniem szans wszystkich obywateli, a ponad połowa powiedziała, że partia ta powinna zadbać o interesy pracowników najemnych, uzyskać rozdział Kościoła od państwa oraz walczyć o prawa kobiet i mniejszości seksualnych⁹.

Ze względu na to, że jedyną lewicą reprezentowaną obecnie w parlamencie są środowiska recyklowane po 1989 roku, w których nadal kluczową rolę odgrywają politycy aktywni jeszcze w czasach PRL, zainteresowani bardziej utrzymaniem *status quo* niż tworzeniem europejskiej progresywnej lewicy w Polsce, Zieloni podejmują trudny projekt politycznego pozycjonowania się „do przodu” – w myśl maksymy Joschki Fischera: „ani z lewa, ani z prawa, tylko z przodu”. Lewicowo-

⁷ Adam Ostolski, *Czy polskiej modernizacji potrzebna jest polityka?*, maszynopis niepublikowany. Dziękujemy Autorowi za jego udostępnienie.

⁸ Wypowiedź prof. Jacka Raciborskiego w panelu dyskusyjnym „Przyszłość sceny politycznej oczami naukowców”, [w:] *Przyszłość polskiej sceny politycznej po wyborach 2007 roku*, Instytut Spraw Publicznych, Warszawa 2008.

⁹ Telefoniczny sondaż dla „Rzeczpospolitej” przeprowadzony 3.04.2008 przez GfK Polonia na pięćsetosobowej grupie dorosłych.

prawicowy podział sceny politycznej zastępujemy propozycją zielonej modernizacji, której elementami mają być m.in.: pogłębianie demokracji poprzez zwiększenie dostępu do informacji publicznej i udziału społeczeństwa w podejmowaniu decyzji, poprawa jakości życia polskiego społeczeństwa poprzez ochronę zasobów przyrody oraz trwały (*sustainable*) rozwój gospodarczy i tworzenie zielonych miejsc pracy, rozdział Kościoła od państwa oraz budowa egalitarnego społeczeństwa poprzez wyrównywanie szans kobiet i mężczyzn czy obronę praw pracowniczych i konsumenckich. Narzędziami zielonej modernizacji są m.in.: zwiększone wydatki na publiczną edukację, ekologiczna reforma podatkowa, rozwój polityki transportowej opartej na kolei i komunikacji zbiorowej, polityka klimatyczno-energetyczna oparta na podniesieniu efektywności energetycznej i promocji odnawialnych źródeł energii, wdrożenie ustawodawstwa równościowego i in. Podejmujemy także krytykę neo-liberalnej globalizacji korporacyjnej, wskazując na potrzebę budowania globalnego społeczeństwa obywatelskiego i ponadnarodowych instytucji demokratycznych, które zapewnią skuteczne wdrożenie prawa międzynarodowego i będą w stanie sprostać nowym wyzwaniom politycznym o charakterze globalnym, jakimi są kryzys ekologiczny i energetyczny oraz zmiany klimatyczne.

Ten polityczny *mix* stawia Zielonych w poprzek dotychczasowych lewico-prawicowych podziałów sceny politycznej w Polsce. Mamy świadomość, że wymaga to zbudowania wokół naszego projektu politycznego szerszego zaplecza intelektualno-społecznego, a zarazem „przełożenia” tych kwestii na język codzienności wyborców. W tym sensie z pewnością jednym z najważniejszych wyzwań, jakie obecnie stoją przed Zielonymi, jest stworzenie własnej, spójnej narracji politycznej, w której zostaną wyartykułowane różne kwestie związane z zieloną modernizacją. To także uświadomienie ludziom, że takie zagadnienia, jak edukacja, opieka zdrowotna, podatki, bezpieczeństwo energetyczne, infrastruktura, mają wymiar polityczny. Jednak przede wszystkim warunkiem podstawowym jest przezwyciężenie dominującego w dyskursie publicznym przekonania, że *there is no alternative*.

Jednocześnie można zauważyć, że zielone postulaty już zaczynają się cieszyć coraz większym poparciem społecznym, nie tylko dlatego, że sporo miejsca zaczyna im poświęcać mainstreamowa prasa. Z wyborów na wybory można zaobserwować stały wzrost poparcia dla Zielonych – np. podczas wyborów samorządowych w Warszawie w 2006 roku na zieloną listę do Rady Miasta zagłosowało prawie trzykrotnie więcej wyborców niż w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2004 roku. Z kolei w przyspieszonych wyborach parlamentarnych, które odbyły się w październiku 2007 roku, nasza kandydatka, startująca do Senatu w okręgu katowickim, uzyskała prawie 5% poparcia. To ważne, ponieważ w trudnym regionie Górnego Śląska, gdzie cała gospodarka opiera się na górnictwie węgla kamiennego, pomysły ekologiczne, by zmniejszyć stopień wykorzystania tego surowca w przemyśle energetycznym, są zdecydowanie niepopularne. Dlatego o przyszłości Zielonych myślimy optymistycznie, koncentrując się w tej chwili na przygotowaniach do wyborów europejskich w 2009 roku, a w dalszej perspektywie budując sojusze z myślą o przyszłych wyborach samorządowych i parlamentarnych.

Agnieszka Grzybek – parytetowo wraz z Dariuszem Szwedem przewodnicząca Zielonych 2004 od marca 2008 roku. Tłumaczka, działaczka feministyczna, ekspertka od problematyki równego statusu kobiet i mężczyzn, działa w polskim ruchu kobiecym od 1997 roku. Z wykształcenia polonistka, absolwentka Szkoły Praw Człowieka, organizowanej przez Helsińską Fundację Praw Człowieka (1998), i Institute for Women's Global Leadership, organizowanego przez Center for Women's Global Leadership, Rutgers University (2001). W latach 2002-2005 członkini Rady Programowo-Konsultacyjnej przy Pełnomocnicze Rządu ds. Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn oraz Komitetu Monitorującego Inicjatywę Wspólnotową EQUAL. Pracownica Fundacji im. Heinricha Bölla.

Dariusz Szwed – parytetowo wraz z Agnieszką Grzybek przewodniczący Zielonych 2004. Absolwent Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych na Akademii Ekonomicznej w Krakowie i Ekonomicznych Podstaw Polityki Ekologicznej na Uniwersytecie Warszawskim. Od wielu lat jest konsultantem w zakresie zrównoważonego rozwoju i sektora pozarządowego wielu instytucji/organizacji, m.in.: Banku Światowego, Centrum Prawa Ekologicznego, Greenpeace International, Instytutu na rzecz Ekorozwoju, Milieukontakt Oost-Europa, Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, Regional Environmental Center, Światowej Unii Ochrony Przyrody IUCN, WWF.

5.

Granice zielonej polityki

Maciej Gdula

Według utartego schematu zwolennicy zielonej polityki to osoby pragnące zakonserwowania tego, co jeszcze zostało z przyrody, i zatrzymania, a nawet cofnięcia rozwoju cywilizacyjnego. Taka etykieta skutecznie powstrzymuje ludzi od identyfikowania się z działaniami partii i ruchów zielonych, bo przecież niewielu chce „mieszkać w ziemianie i jeść korzonki”. Nawet jeśli dla części ekologów zasadnicze znaczenie ma konserwacja przyrody, to prawdziwe wyzwanie polega dziś na pokazaniu, że zielona polityka nie jest dbaniem o coś, co znajduje się na zewnątrz, i pragnieniem powrotu do przeszłości, ale spoglądaniem w przyszłość i wzięcie odpowiedzialności za kształt świata zamieszkwanego nie tylko przez ludzi. Miejscami, do których odnosi się zielona polityka, są zarówno nasze osiedle, jak i Puszcza Amazońska, miasto, w którym żyjemy, i dolina Wisły. Zielona polityka nie wiąże się tylko z „kwestiami ekologicznymi”, bo dotykając spraw tak różnych, jak jakość wody w kranie, urbanizacja i kształt ładu międzynarodowego, mierzymy się z podstawowymi pytaniami o wolność, równość czy rozwój.

To się dzieje wokół ciebie!

Nie trzeba być miłośnikiem przyrody, żeby odkryć, że zagadnienia zielonej polityki nie są jakimś wydumanymi i odległymi problemami. Niejeden i niejedna z nas, będąc dzieckiem, spędzał czy spędzała czas na terenach przylegających do naszego osiedla. Chodziło się tam na łąkę, pooglądać kijanki w kałuży, wyprowadzić na spacer psa albo pograć w piłkę. W pewnym momencie w miejscu, które znajdowało się poza granicami osiedla, ale przynależało w oczywisty sposób do naszego świata, pojawiały się nowe bloki i domy. Wraz z nimi znikwały dotychczasowe atrakcje. Był to dla nas koniec przyjemności, do których byliśmy przyzwyczajeni, ale dawaliśmy się przekonać argumentom, że tak już jest na tym świecie i miasta muszą się rozrastać. Uprawianie zielonej polityki oznacza, że nie musimy godzić się na dowolne rozwiązania, jakie pojawiają się wokół nas, tylko dlatego, że ktoś nazwał je naturalną drogą rozwoju.

Przyjęcie zielonej perspektywy to gotowość do takiego przekształcenia świata wokół nas, aby był jak najbardziej przyjaznym miejscem. Alternatywą dla blokownia urbanizacji jest refleksyjna urbanizacja, uwzględniającą zróżnicowane potrzeby ludzi i środowiska. Refleksyjna urbanizacja to otwartość na potrzeby komunikacji, kontaktu i wypoczynku. Jeśli miasta przekształca się w taki sposób, że miejsca dla pieszych i rowerzystów zajmowane są przez samochody, tereny służące rekreacji możliwie gęsto zabudowuje się domami i biurami, a jedynym miejscem kontaktu między ludźmi poza pracą stają się przestrzenie handlowe, to w takim mieście jest coraz mniej szans na przyjemne życie. W takim świecie oprócz tego, że redukuje on ludzkie aktywności do pracy i zakupów, odnaleźć się mogą przede wszystkim osoby dobrze zarabiające. Dla innych – starszych, mniej zarabiających czy wybierających inne niż dominujące style życia – miejsca jest coraz mniej. Refleksyjna urbanizacja to pomysł na takie kształtowanie przestrzeni miasta, w którym dba się o inne niż samochodowe środki transportu, chroni miejsca publiczne i zabiega o równy dostęp do nich, traktuje przestrzeń zieloną jako obszar współlistnienia ludzi i nie-ludzi, a nie tylko teren przeznaczony dla ludzkich rozrywek i ekspansji, oraz pamięta się, że nie tylko bogaci mają prawo do uczestnictwa.

Przestrzeń taką trudno powołać do życia, jeśli nie połączy się oczekiwań rozmaitych ludzi, często oddzielonych od siebie barierami wieku, płci czy zamożności. Kiedy pomysł tworzenia ścieżek rowerowych przedstawiany jest jako pojedyncza sprawa do załatwienia – tak samo jak jakość wody w kranie, przyjazne parki czy obrona miejsc tanich zakupów na bazarku – traci się szansę na budowę szerszego frontu poparcia dla tworzenia bardziej przyjaznego miasta. Póki nie rozpozna się i nie zdefiniuje wspólnych interesów rowerzystów, emerytów robiących tanie zakupy i matek z dziećmi, szukających miejsca do zabaw, pojedyncze sprawy będą miały małe szanse na realizację. Zielona polityka oznacza gotowość do łączenia ze sobą ludzi w imię demokratycznego kształtowania świata wokół nich.

Dziś jesteśmy dalecy od uruchamiania takiej dynamiki, a kształtowaniem życia w miastach rządzą fałszywe oczywistości, które sprawiają, że żyje nam się coraz trudniej. Jednym z ważnych aspektów tej sytuacji jest budowanie na obrzeżach miast zamkniętych osiedli. Przyzwolenie na ich powstawanie wiąże się z akceptacją tezy, że każdy ma prawo do wyboru, gdzie i jak mieszka, jeśli tylko ma na to odpowiednie środki. Kiedy istnieje jedno zamknięte osiedle, mieszkający w nim ludzie korzystają z wszystkich zalet świata bez krat, zachowując poczucie wyjątkowości i bezpieczeństwa. Gdy w okolicy pojawia się coraz więcej zamkniętych osiedli, kurczy się obszar, z którego można było wcześniej korzystać. Skutkiem tego jest powstanie przestrzeni, gdzie „u siebie” znaczy wyłącznie u siebie w domu, bo okolica poszatkowana jest płotami, broniącymi dostępu do ekskluzywnych osiedli. Powstawanie archipelagów zamkniętych osiedli może być potraktowane jako modelowy przykład zmian, w którym wolny jednostkowy wybór prowadzi *de facto* do ograniczenia wolności. Grodzenie pokazuje, jakie pułapki czekają na nas, gdy uwierzymy w spontaniczne mechanizmy organizowania naszego świata. Musimy zrozumieć, że żyjemy w przestrzeni wspólnej, którą wspólnie musimy tworzyć. Jeśli będziemy chcieli ją urządzić, zdając się tylko na swoje siły, to w ostatecznym rachunku przegramy wszyscy.

Ekologia odwagi zamiast ekologii strachu

Bliskość zielonej polityki nie może przesłonić nam jednak tego, że część jej problemów to zagadnienia daleko wykraczające poza bezpośrednie doświadczenie. Ważne impulsy dla masowego zainteresowania problemem ekologicznym pojawiły się w latach 70. wraz z kryzysem modernistycznego przekonania o nieograniczonych możliwościach ekspansji cywilizacji człowieka. Przewidywania na temat granic rozwoju mówiły m.in. o wyczerpywaniu się źródeł energii, bombie demograficznej i zanieczyszczeniu wody i powietrza. Jeśli dodamy do tego niepewność związaną z używaniem pestycydów albo działaniem elektrowni atomowych, nietrudno zrozumieć wątpliwości, czy aby rozwój technologii,

który był źródłem potęgi człowieka, nie stanie się też przyczyną jego upadku. Strach przed nieprzewidywalnymi konsekwencjami rozwoju stał się siłą napędową dyskusji nad problemami ekologicznymi, tak że dziś są one na świecie jednym z prawomocnych wątków debat publicznych. Jednocześnie stało się jednak coś niepokojącego. Docenieniu wagi problemów ekologicznych towarzyszy poczucie niemocy i braku wiary w możliwość uporania się z nimi. W doświadczeniu zwykłego człowieka alternatywą jest albo odrzucenie współczesnej cywilizacji, albo jej rozwój – nawet jeśli miałby to być rozwój ku śmierci.

Zielona polityka musi postawić sobie za cel ukazanie, że istnieje inna droga. Stanie się to możliwe, jeśli uda się wykorzystać potencjał mobilizacji, jaki niosą kwestie ekologiczne, i jednocześnie upolitycznić zagadnienia technologii i nauki. Pomocna może tu być koncepcja „społeczeństwa ryzyka” niemieckiego socjologa Ulricha Becka, która zrobiła zawrotną karierę na początku lat 90.

Koncepcja ta była często spłykana do stwierdzenia, że tradycyjne zagadnienia, takie jak walka klas i nierówności, tracą na znaczeniu wobec nadciągającej ery niepewności i wzrostu ryzyka w życiu jednostek. Beck nie stwierdzał po prostu, że żyjemy w coraz bardziej niepewnych czasach, lecz że zaczynamy doświadczać ograniczeń w stosowaniu dotychczasowych narzędzi radzenia sobie z niepewnością. Nawet jeśli wzrasta prawdopodobieństwo tego, że żyjąc w rozwiniętym kraju zachodnim, dożyjemy sędziwego wieku, zauważamy też, że nasza cywilizacja jest w stanie wytworzyć mało prawdopodobne zagrożenia, które mogą jednak uniemożliwić nawet trwanie życia na ziemi. Tezy Becka znakomicie ukazują potencjał mobilizacji i uniwersalnego znaczenia kwestii ekologicznych. Jeśli zmienia się klimat, mamy do czynienia ze skażeniem żywności albo katastrofą atomową, których skutki dotkną zarówno białych jak i czarnych, bogatych i biednych, Polaków i Niemców, kobiety i mężczyzn. Problemy społeczeństwa ryzyka są demokratyczne i Beck spore nadzieje pokładał w bezpośredniej demokracji, związanej z ruchami społecznymi. Demokratycz-

na odpowiedź nie przychodzi jednak automatycznie, bo ludzie wciąż mają różne interesy, tożsamości i przyzwyczajenia. Odpowiedzi na tę sytuację można poszukiwać w innej kwestii, poruszonej przez Becka.

Beck mówi o kresie wiary w onnipotencję nauki. Niegdyś naukowcy uchodzili za demiurgów, obdarzonych mocą kontrolowania rzeczywistości. Dziś nikt nie wątpi, że sami naukowcy i inżynierowie nie mają pełnej władzy nad swoimi wytworami. To odkrycie może prowadzić do uznania, że skoro nawet eksperci nie posiadają pełni wiedzy, to jakkolwiek kontrola nad nauką i technologią jest niemożliwa. Zamiast fatalizmu można też jednak ogłosić koniec ideologii niezależnej i działającej wyłącznie w oparciu o kryteria instrumentalnej efektywności nauki i technologii. Jeśli rozwiązania techniczne mogą w sposób nieoczekiwany dotknąć zwykłych ludzi, to dlaczego nie mieliby oni zyskać choć częściowej kontroli nad procesem ich powstawania? Odkrycie, że nauka jest społecznie kształtowana, nie oznacza, że każdy może zastąpić inżyniera, ale z pewnością oznacza, że każdy ma prawo wiedzieć, jakie konsekwencje będzie miał określony projekt. Gdy dowiemy się, kto zyska, a kto będzie wykluczony z udziału w korzyściach, gdy poznamy zagrożenia, jakie wiążą się z określonymi rozwiązaniami, będziemy mogli uruchomić demokratyczny proces decyzyjny, tak aby przyjmowane rozwiązania służyły możliwie największej liczbie aktorów i akceptowane były ze świadomością ryzyka, jakie ze sobą niosą.

Czy mamy już wolność?

Jednym z ważnych elementów, definiujących politykę zielonych na zachodzie Europy w latach 60. i 70., było poszukiwanie szans na uprawianie polityki poza oficjalnymi instytucjami. Zieloni woleli zaangażowanie przyjmujące formę ruchu społecznego niż tworzenie sztywnych partii politycznych. Zamiast demokracji proceduralnej, polegającej przede wszystkim na powtarzalnym głosowaniu na partie polityczne, ruch społeczny praktykował demokrację jako

poszerzanie obszarów wolności. W ten sposób można było domagać się realizacji postulatów, których nie postawiłby establishment z tradycyjnych partii politycznych. Dziś widać wyraźnie, że oparcie polityki wyłącznie na ruchach społecznych nie wystarcza i walka o lepszy świat przez uczestnictwo w systemie parlamentarnym nie musi oznaczać kompromitacji, a jest często sposobem na to, żeby o postulatach nie tylko wszyscy usłyszeli, ale także żeby można je było wprowadzić w formie rozwiązań prawnych i instytucjonalnych. Zielona polityka wciąż jednak kieruje się impulsem, nakazującym nieufność wobec wszystkich, którzy mówią, że osiągnęliśmy stan pełnej wolności i demokracji.

Taka postawa ugruntowana jest w historii emancypacji, która realizowała się dzięki wchodzeniu na scenę kolejnych grup, niemieszczących się w dotychczasowym porządku politycznym. Tak było z burżuazją, rozsadzającą system feudalny i ustanawiającą demokrację ograniczoną cenzusem majątkowym. Wobec tego systemu występowali robotnicy, którzy słusznie zauważali, że jest to demokracja tylko dla bogatych. Nawet poszerzenie demokracji o uboższych nie likwidowało jednak problemu nieobecności kobiet w systemie politycznym, na co uwagę zwróciły feministki. Gdy tak opowie się historię demokracji, wyraźnie staje się, że nie sprowadza się ona do zestawu procedur, ale oznacza walkę o zasady uczestnictwa i uznania.

W Polsce demokrację traktuje się nie tyle jako zestaw procedur, ale jako stan rzeczy różny od totalitaryzmu. To ostre przeciwstawianie demokracji totalitaryzmowi stało się jednym z elementów podtrzymywania *status quo*. Krytykom niedostatków transformacji, tak w wymiarze gospodarczym, jak i światopoglądowym, zamykano usta stwierdzeniem, że za komuny było przecież gorzej i powinni cieszyć się z tego, że mogą głosować i nikt nie wsadza ich do więzień. W imię realizowania celów transformacji gospodarczej i integracji ze strukturami Unii Europejskiej ograniczano spory, a ci, którzy domagali się większych swobód, oskarżani byli o rozpętywanie „wojen ideologicznych”. Także dziś doma-

ganie się większych praw reprodukcyjnych, stawianie pytań o miejsce Kościoła katolickiego w życiu społecznym czy walka o uznanie dla swojej odmienności seksualnej definiowane są jako rodzaj politycznego awanturnictwa. Charakterystyczna dla zielonej polityki podejrzliwość wobec wiary w panowanie wolności może być ożywym impulsem, który sprawi, że demokracja oznaczać będzie możliwość poszerzania wolności, a nie po prostu ustrój różny od PRL-u.

Nowy ład światowy?

W zielonej polityce pociągające jest to, że nie zatrzymuje się ona na granicach państwowych i pyta o zasady konstruowania ładu światowego z perspektywy wychodzącej poza interes narodowy. Nawet jeśli jesteśmy dziś dalecy od dziewiętnastowiecznej apoteozy misji cywilizacyjnej Zachodu, to wciąż dominującym wzorem jest model rozwoju realizowany w Europie i Ameryce Północnej, ponieważ to on funkcjonuje jako godzien naśladowania sposób życia. Jednocześnie niełatwo zasłużyć sobie na możliwość życia zgodnie z tym modelem. Dominacja Zachodu wyraża się w podtrzymywaniu rozróżnienia na wspólnoty cywilizowane i niecywilizowane. Staje się to szczególnie widoczne przy okazji konfliktów zbrojnych, które wykorzystywane są do zarysowania absolutnej różnicy między roztroprnymi i pragmatycznymi ludźmi Zachodu a porwczymi i barbarzyńskimi ludami Wschodu i Południa. W roli barbarzyńców obsadzić można zarówno dalekich Hutu i Tutsi, jak i bliższych Serbów i Chorwatów. W konfliktach i zbrodniach wojennych ma się ujawniać prawdziwa twarz ludów spoza światowego centrum. Inne wymiary ich życia, takie jak bieda, niedorozwój, choroby czy korupcja, tylko potwierdzają głębokość istotowej różnicy między cywilizowanymi a barbarzyńcami.

Nietrudno wyobrazić sobie krytykę tak skonstruowanego obrazu świata. Zachód, odpowiedzialny za dwie wojny światowe i obozy zagłady, nie jest zbyt przekonujący w roli rzecznika miłości i pokoju. Poza tym fakt, że poszczególne

kraje zachodnie przyczyniają się do rozniecania konfliktów poza swoimi granicami, aby realizować tam własne interesy, nie daje Zachodowi prawa do pouczenia innych. Wizja krajów spoza centrum jako siedliska chorób, biedy i wojen też nie jest pełna i ma w sobie wiele z medialnej kreacji, tworzonej także po to, by ludzie Zachodu mieli poczucie, że szczęśliwe życie możliwe jest tylko w ramach modelu realizowanego u nich w domu. Kraje spoza centrum mogłyby po prostu odrzucić niekorzystny dla nich sposób dzielenia świata i zaprzestać pogoni za Zachodem. Poczucie własnej wartości mogłoby być alternatywą dla podziałów zakładających, że tam, gdzie przebiega granica Zachodu, żyją ludzie co najwyżej aspirujący do pełni człowieczeństwa.

Taka propozycja ma jednak spore ograniczenia, bo choć dominacja Zachodu ma swój wymiar symboliczny, polegający na narzuceniu innym poczucia niższości, wiążą się z nią także realne różnice w zyskach z pracy, poziomie i jakości życia oraz we władzy nad decyzjami dotyczącymi globalnych rozwiązań. Kraje rozwinięte swoją pozycję zawdzięczają kontroli nad najbardziej zyskowymi gałęziami produkcji i nie bez znaczenia są korzyści, jakie czerpią z taniej pracy robotników Południa. Tego podziału pracy i podziału zysków nie można zmienić wyłącznie przez zmianę nastawienia i wyzwolenie się z dominacji zachodniej kultury. Poza tym pamiętać trzeba, że alternatywami dla uczestniczenia w globalnym podziale pracy, z którego korzyści rozkładają się niesymetrycznie, są często rozkład państwa i pogrążenie się w chaosie, co przydarzyło się części obszarów Afryki. Zachód, tak chętnie nawołujący do otwartości, kiedy idzie o krążenie kapitału i dóbr ekonomicznych, ofiarom tych procesów oferuje szczelnie zamknięte granice i obozy dla uchodźców.

Czy sytuacja jest beznadziejna? Nie, ale trzeba dostrzec i wspierać nowe możliwości uprawiania polityki, jakie pojawiają się na styku Północy i Południa. Te możliwości są często związane z podważaniem reguł, które na Zachodzie przyjmuje się jako dane. Dobrym przykładem jest tu postawa rządu Brazylii, który na

przełomie wieków postanowił rzucić wyzwanie umowom o ochronie własności intelektualnej i żeby ratować życie swoich obywateli, zdecydował się złamać patenty na leki na AIDS. Dzięki temu posunięciu uratował tysiące ludzi, których międzynarodowe traktaty skazywały na śmierć. Brazylijczycy wyżej od prawa własności, które w praktyce służy wyższym zarobkom zachodnich firm, postawili prawo do życia i dostęp do nowoczesnych terapii dla swoich obywateli. Szansą dla krajów Południa jest zatem przynajmniej selektywne wyłamywanie się z logiki wolnej wymiany handlowej, która daje korzyści przede wszystkim krajom rozwiniętym. Drugą ważną strategią jest tworzenie poziomych układów współdziałania, pozwalających na przezwycięzenie zależności wobec krajów rozwiniętych. Jednym z udanych przykładów takich projektów jest Drugs for Neglected Diseases Initiative (DNDI). Organizacja ta skupia publiczne centra badawcze z Kenii, Indii, Malezji, Brazylii, a także Instytut Pasteura z Francji i Lekarzy Bez Granic w celu opracowania leków na choroby, które ze względu na ubóstwo krajów ich występowania znajdują się poza zainteresowaniem międzynarodowych koncernów. Celem jej działania jest produkcja leków nie tylko skutecznych, ale i tanich, tak aby stały się one dostępne dla ludzi biednych. Największym sukcesem stało się opracowanie przez DNDI leku na malarię ASAQ, który wolny jest od ograniczeń patentowych.

Zauważenie w Polsce tych zjawisk jest oczywiście stawką samą w sobie, ale jest też jednym z warunków rewitalizacji życia politycznego. W Polsce myślenie o polityce międzynarodowej redukowane jest albo do rywalizacji między narodami, albo do „wchodzenia do Europy”, będącego jedną z wersji polityki normalności. To sprawia, że znika w ogóle przestrzeń politycznego wyboru, bo albo broni się interesu narodowego, albo wprowadza normalne – a więc niepodlegające dyskusji – rozwiązania. Gdy zauważymy, że żadne standardy w polityce globalnej nie są niewinne, a jej aktorzy to nie tylko narody, ale także klasy, grupy religijne czy mniejszości etniczne, będziemy w stanie uprawiać wreszcie także w ramach Unii Europejskiej politykę, która przestanie się sprowadzać do obrony narodowego partykularyzmu.

Przekraczając granice

Jeśli szukać najmniejszego wspólnego mianownika, łączącego różne wymiary zielonej polityki, mogłaby nim być gotowość do przekraczania granic. Kiedy poszukujemy sojuszników do zagospodarowania wspólnej przestrzeni, zastanawiamy się, jak ująć w demokratyczne procedury problemy, wykraczające poza terytorium państwa narodowego, albo bierzemy pod uwagę ludzi, którym we współczesnym świecie nie pozostawia się nadziei, staramy się wyjść poza politykę uprawianą w imię odgródzenia się od problemów i poza złudzenia, że jakieś spontaniczne mechanizmy sprawią, że świat stanie się bardziej przyjaznym miejscem. Uprawianie zielonej polityki to gotowość do działania w sytuacji braku twardych podstaw, kiedy nie można już przyjmować za oczywiste ani narodu, ani rynku. Pewne jest tylko to, że za granicą czeka na nas jakieś wyzwanie.

Maciej Gdula – socjolog i publicysta. Członek zespołu redakcyjnego „Krytyki Politycznej.” Pracuje w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie obronił doktorat o dyskursach eksperckich o miłości. Zajmuje się teorią społeczną i teorią polityki, łącząc te zainteresowania z zaangażowaniem w debatę publiczną. Publikował teksty teoretyczne dotyczące przestrzeni miejskiej, polskiego pola politycznego i polityki historycznej. Tłumaczył i współredagował polskie przekłady tekstów i książek Pierre’a Bourdieu.

6.

Zielona modernizacja

Edwin Bendyk

„Gdyby globalnego ocieplenia nie było, należałoby je wymyślić” – mawia Jeff Immelt, szef General Electric, największego konglomeratu przemysłowego na świecie. I dodaje: *Green means greens* – zielone znaczy „zielone” (dolary).

Zalążki zmian

Na długo przedtem, zanim w lecie 2007 roku pojawiły się pierwsze symptomy kryzysu bankowego, szefowie wielu ważnych korporacji zaczęli dostrzegać, że dotychczasowy model kapitalizmu wyczerpał się. Odkrycie to przyszło w najbardziej zaskakującym momencie, w latach 90. XX stulecia, gdy wydawało się, że neoliberalny kapitalizm święci ostateczne zwycięstwo i rzeczywiście nastąpił koniec historii. W 1989 roku rozsypał się system realnego socjalizmu, w 1991 roku przestał istnieć Związek Radziecki, zakończył się wielki eksperyment budowy państwowej gospodarki centralnie planowanej. Parafrazując słowa Marksa, socjalizm upadł pod ciężarem własnych sprzeczności.

W tym samym czasie kapitalizm, po krótkiej i płytkiej recesji, szybko nabrał wigoru. Nastąpiła epoka szalonych lat 90., epoka przyspieszenia procesów globalizacyjnych, tanich surowców, taniej siły roboczej z krajów znajdujących się dotychczas za żelazną kurtyną, taniego kapitału i nieograniczonego wzrostu, którego gwarantem miała być rosnąca konsumpcja zarówno na starych, dojrzałych, jak i nowych, wyposzczonych rynkach. Jak zgrabnie ujął to Thomas L. Friedman, publicysta „The New York Times”, nastał nowy ład światowy, globalizacja z ideologią wolnego rynku, za którym stoi niewidzialna pięść armii amerykańskiej. I za którym, warto dodać, pulsuje także niewidzialna sieć internetu i cyfrowej komunikacji.

Nowa epoka potrzebowała nowych teorii, szybko pojawili się więc prorocy Nowej Gospodarki. W 1994 roku amerykańscy republikanie szli po zwycięstwo w wyborach do Kongresu, wymachując dokumentem programowym

Magna Charta for the Knowledge Age. Tekst napisany przez Alvina Tofflera, Esther Dyson i George'a Gildera rozpoczynały słowa: „Najważniejszym wydarzeniem XX wieku jest triumf informacji nad materią”. Rok później na światowych giełdach rozpoczęła się internetowa gorączka inwestycyjna, a wartości giełdowych indeksów szły w górę do niewyobrażalnych jeszcze kilka lat wcześniej poziomów. Sceptycy mówili, że cud nie może trwać wiecznie. Teoretycy Nowej Gospodarki obwieścili – cud stał się normą. Nie ma granic dla rozwoju, pisał Peter Schwartz w tekście *The Long Boom*, dowodząc, że kapitalizmowi nie grożą już cykle koniunkturalne i kryzysy.

Tanie surowce, a zwłaszcza ropa naftowa i gaz, pozwoliły uwierzyć w dematerializację gospodarki. Problemem stała się konsumpcja. Problem szybko jednak został rozwiązany przez błyskawiczny rozwój technik stymulacji konsumenckiego pożądania i instrumentów finansowych, umożliwiających zaspokajanie tychże pasji. Na śmietnik trafiły kultowe opracowania lat 70., jak pamiętne *Limits to Growth* (*Granice wzrostu*) Meadowsów z 1972 roku. Nie ma granic, bo nie ma granic dla innowacyjności, kreującej nieustającą podaż nowych produktów i usług. I nie ma granic, bo nie zna zaspokojenia pożądanie, stojące u podstaw napędzającej popyt konsumpcji.

Pod koniec lat 90. nadeszły pierwsze symptomy zmiany. Szybko okazało się, że pod hasłami Nowej Gospodarki i wzrostu w nieskończoność kryje się stary kapitalizm, polegający na wyzysku wszystkich możliwych zasobów. Tyle tylko, że w nowym zglobalizowanym świecie niewygodnej prawdy nie dało się ukryć. Opinia publiczna całego świata dowiedziała się o buncie Indian z Chiapas, pracy dzieci w wietnamskich sweatshopach, dewastacji ekologicznej w Nigerii i Brazylii, i w końcu powiedziała: dość! Uzbrojona w internet, zaczęła tworzyć dyskurs krytyczny wobec oficjalnego nurtu neoliberalizmu. Za dyskursem poszły działania. O ich skuteczności zdecydowała radykalna innowacja. Nowe ruchy społeczne, kontestujące oficjalny model rozwoju lat 90. XX wieku, odkryły,

że najlepszym orężem będzie użycie głównej siły napędzającej współczesny kapitalizm: konsumpcji. Tak jak orężem robotników walczących o swe prawa w walce z kapitałem był strajk, czyli odmowa pracy, tak pod koniec XX wieku najskuteczniejszym orężem okazała się odmowa konsumpcji.

Koordynowane przez internet bunty konsumenckie, polegające na odmowie kupowania produktów naznaczonych marek, rzuciły na kolana największe korporacje. Nike czy Coca Cola to jedne z pierwszych przykładów cudownie nawróconych firm, które uznawały wcześniej, że odpowiadają jedynie za wynik finansowy, jakiego oczekują od nich akcjonariusze. Nie, nie chodzi o to, że korporacje te stały się nagle instytucjami filantropijnymi i z porywu serca zaczęły dbać o swych pracowników i środowisko.

Kryzys przyszłości

Bunty konsumenckie uświadomiły co światlejszym sternikom kapitalizmu, że wbrew zapewnieniom o wiecznej trwałości rozwoju, poważnej erozji zaczął ulegać kluczowy zasób – przyszłość. Przyszłość dla kapitalizmu jest tak samo ważna, a jednocześnie tak oczywista, jak powietrze. Po prostu przyszłość istnieje i musi być lepsza niż przeszłość, bo przecież cały rozwój odbywa się na kredyt (dosłownie) wobec przyszłości. Stąd taki fetysz wskaźnika PKB, który musi rosnąć, bo ten wzrost gwarantuje politykom, że będzie z czego spłacać dług publiczny. Wiary w przyszłość nie kwestionowały nawet takie kataklizmy, jak obie wojny światowe, bo za każdym razem po ich zakończeniu wracało przekonanie, że tym razem da się urządzić świat lepiej i w przyszłości kolejnej światowej wojny już nie będzie.

Pod koniec XX wieku, w warunkach pokoju i bezprecedensowego wzrostu dobrobytu (nawet jeśli był on nierówno rozłożony, to jednak bezsprzeczny), nadszedł kryzys przyszłości, zidentyfikowany doskonale już w 1980 roku przez

polskiego historyka i filozofa Krzysztofa Pomiana. Kryzys wielowymiarowy, polegający na wyczerpaniu zasobów surowcowych, naturalnych i psychologicznych. Symptodem tego kryzysu była cała dekada lat 70. XX wieku z dwoma szokami energetycznymi: w 1973 roku i w 1979 roku. Ruszyły programy zielonej modernizacji kapitalizmu. Prezydent USA Jimmy Carter, z wykształcenia inżynier, osobiście uruchamiał panele słoneczne na dachu Białego Domu. Mała Dania postawiła sobie za cel rozwój bez zwiększania zużycia energii. Strategie rozwoju zmieniły Niemcy, Japonia, Szwecja, Francja.

Po 1980 roku doszło do podziału. Stany Zjednoczone uznały, że zielony kapitalizm to kosztowna fanaberia. Ronald Reagan zdjął panele słoneczne i załatwił z Arabią Saudyjską zwiększenie wydobycia ropy. Jej cena gwałtownie się obniżyła, Związek Radziecki wpadł w tarapaty finansowe, z których już nie wyszedł. Pozostało jednak pytanie, czy możliwy jest kapitalizm inny niż eksploatacyjny. Pozytywne przykłady Danii, Szwecji czy nawet dużych Niemiec o niczym w istocie nie świadczą. Kraje te funkcjonują bowiem w międzynarodowym systemie, którego pompą tłoczącą są Stany Zjednoczone.

To właśnie dlatego obecny kryzys tak bardzo niepokoi, bo wyłonił się z samego centrum globalnego systemu. I co z tego, że niemiecka gospodarka jest fundamentalnie zdrowa, skoro Amerykanie nie mają w tej chwili za co kupować niemieckich mercedesów. Warunkiem powrotu światowej gospodarki na ścieżkę rozwoju jest przywrócenie dynamiki popytu i podaży. Tak było zawsze podczas poprzednich kryzysów. Tym razem jednak problem jest poważniejszy, bo warunkiem przywrócenia tej dynamiki jest pokonanie kryzysu przyszłości.

Nie wystarczy, tak jak podczas New Dealu w latach 30. XX stulecia, uruchomić wielki program inwestycji publicznych, by podtrzymać popyt. Nie wystarczy dogadać się, jak w 1980 roku, z Arabią Saudyjską, by znowu zaczęła pompować tanią ropę. Kapitalizm wkroczył w fazę wielkiej restrukturyzacji. Jeśli

ma na trwale wyjść z kryzysu, potrzebny jest nowy model rozwoju, uwzględniający przyszłość jako kluczowy składnik rozwojowego kapitału, a nie, jak było wcześniej, jako czynnik zewnętrzny i dany. I właśnie tę prawdę już pod koniec lat 90. zaczęły odkrywać niektóre korporacje, skonfrontowane z siłą odmowy konsumpcji. Zdały one sobie sprawę, że podstawą ich bytu nie jest jedynie krótkoterminowy wynik finansowy, lecz to, kim będzie konsument za lat 10, 20, 30. Jakie będą jego oczekiwania, wartości, marzenia.

Zielony duch kapitalizmu

Prezesi gospodarczych gigantów odkryli prawdy, o jakich pisał 100 lat wcześniej niemiecki socjolog Max Weber. Przekonywał on zaś, że motorem napędzającym rozwój w logice kapitalistycznej są predyspozycje duchowe, zakorzenione w społeczeństwie, sprzyjające lub przeszkadzające celom gospodarki. Weber dowodził, że do triumfalnego startu kapitalizmu 200-300 lat temu przyczyniła się walenie etyka protestancka. Pochwala ona sumienną pracę, czyniąc z niej powołanie, akceptuje zysk jako owoc za trud i premiuje indywidualne osiągnięcia, uznawane za formę służby Bogu. Wartości etyki protestanckiej stały się podstawą tzw. ducha kapitalizmu, czyli systemu upowszechnionych w społeczeństwie wartości, funkcjonalnych dla sprawnego działania systemu.

Kapitalizm jest jednak systemem niezwykle dynamicznym, więc to, co mu służyło na początku, w okresie pierwotnej akumulacji, nie musi być dobre w okresie dojrzałości, twierdzi kontynuator myśli Webera, francuski socjolog Luc Boltanski. Dojrzały kapitalizm odkrył zaś, że bardziej przyda mu się pasja konsumpcji nakręcającej popyt niż protestancka etyka oszczędzania. Dlatego w wieku XX nastąpiła wielka transformacja ducha kapitalizmu, etykę protestancką zamieniła etyka hiperkonsumpcyjnego hedonizmu. Ten duch jednakże ostatecznie się wyczerpał wraz z upadkiem Lehman Brothers i nacjonalizacją AIG.

Obecnie nadchodzi nowy, zielony duch kapitalizmu. By lepiej zrozumieć dynamikę tego procesu, warto skorzystać z analiz Boltanskiego. Transformacja z jednego systemu wartości do drugiego odbywa się pod wpływem krytyki zastanego systemu. Krytyka ta powstaje na marginesie. Najpierw wyrażają ją artyści, potem przenika do refleksji socjologicznej. Narasta w efekcie zasób symboli i pojęć, pozwalających zaproponować alternatywny do dominującego opis rzeczywistości. Jak w bajce o chłopcu i królu, ktoś zaczyna krzyczeć: system jest nag! Z czasem wołanie podejmują inni i na ulicach, tak jak w 1968 roku, stają barykady. System broni się, jednak tylko do momentu, gdy odkryje, że lepiej będzie przestawić się na wartości wyrażone w krytyce. W rezultacie wartości krytyki stają się wartościami systemu. Tak właśnie hasła studenckiej rewolty 1968 roku stały się fundamentem ducha neoliberalnego kapitalizmu.

Tak właśnie pod koniec lat 90. bunt konsumencki ujawnił luki w neoliberalnym systemie, a co bardziej przenikliwi sternicy kapitalizmu zaczęli przekierowywać swe korporacje na wartości nowego ducha. Odkryli bowiem, że następuje nieodwracalna zmiana w społecznie podzielanym systemie wartości. Coraz istotniejsza staje się przyszłość, a kluczowym czynnikiem, od którego będzie zależała jakość przyszłości, jest stan szeroko rozumianego środowiska. Nowy duch formuje się dokładnie w sposób, jaki opisuje Boltanski. Najpierw pojawiła się krytyka estetyczna, wyrażająca się w ruchach hipisowskich, potem na scenę wkroczyła nauka. Książki takie, jak *Silent Spring*, *Limits to Growth*, raporty Klubu Rzymskiego, choć niezwykle ostro krytykowane (często słusznie) za wiele nieścisłości, podkopały skutecznie obowiązujący paradygmat. Punktem kulminacyjnym stał się kryzys, który spowodowało wykrycie dziury ozonowej i roli człowieka w jej powstaniu, a następnie globalnego ocieplenia na skutek emisji gazów cieplarnianych.

Kto odpowiednio wcześniej dostrzegł nadchodzącą zmianę i zamiast z nią walczyć, włączył do strategii rozwoju, wygra. Przykłady Nike'a, Coca Coli, Du Ponta, General Electric pokazują, że można całkowicie przeorganizować cykle produkcji, by nie tylko nie tracić na proekologicznych wydatkach, lecz zyskiwać dzięki zwiększonej efektywności i polepszającemu się wizerunkowi wśród konsumentów, którzy dysponują najstraszniejszą bronią – mogą odmówić konsumpcji. Ci, którzy traktowali zmianę jako fanaberię zielonych ekolewaków, jak wielka trójka samochodowa z Detroit, pukają do federalnej kasy, błagając o pomoc. Nikt już nie chce kupować ich paliwożernych monstrów, a na przygotowanie nowej oferty jest już zbyt późno.

Podobnie stało się w wymiarze całych gospodarek narodowych. Państwa, które odpowiednio wcześniej dostrzegły zmianę, są dziś liderami nie tylko ekorozwoju, lecz także rozwoju mierzonego klasycznymi parametrami: poziomem zatrudnienia, jakością życia, dynamiką wzrostu gospodarczego. Dania, Szwecja, Finlandia to wzorcowe przykłady przesterowania mechanizmów rozwoju na zgodny z zielonym duchem kapitalizmu. Polska zaś, podobnie jak samochodowy moloch z Detroit, dopiero dziś odkrywa, że świat się zmienił i nie sposób już dalej realizować neoliberalnej recepty, a na przestawienie się na nowy model jest, być może, zbyt późno. Ten stan rzeczy daje się wyraźnie dostrzec podczas negocjacji w sprawie pakietu energetyczno-klimatycznego Unii Europejskiej.

Polskie dylematy

Polski rząd argumentuje, że realizacja celów polityki klimatycznej, zapisanych w pakiecie, oznacza dla naszego kraju olbrzymie koszty, które zabiją gospodarkę. Gospodarka ta stoi wobec perspektywy wyłączeń prądu za 2-3 lata, spowodowanych dekapitalizacją systemu energetycznego. Potrzebne są olbrzymie inwestycje w odbudowę potrzebnych mocy – rocznie polska ener-

getyka powinna oddawać ok. 2,5 GW nowych mocy, by móc jednocześnie wyłączać stare bloki i nadążać za rosnącym popytem. W tym samym czasie, zgodnie z wymogami pakietu, powinna redukować emisje gazów cieplarnianych. Zdaniem ekspertów niezbędne nakłady inwestycyjne oraz opłaty za emisję dwutlenku węgla spowodują radykalnąwyżkę cen energii. To zaś równie radykalnie zmniejszy konkurencyjność wielu energochłonnych sektorów polskiej gospodarki. Co robić? – nasuwa się automatycznie leninowskie pytanie. Czy mamy szansę „załapać” się na zieloną rewolucję, czy też czeka nas podobny los, jak rosyjską burżuazję po Wielkim Październiku?

Niestety, nie ma łatwej odpowiedzi. Na pewno Polska dysponuje wieloma zasobami, które umożliwiają zieloną transformację. Oczywiście, trzeba najpierw zdefiniować jej cel. Możemy jednak realizować wiele scenariuszy konstrukcji tzw. miksu energetycznego, by odpowiadał celom polityki klimatycznej i warunkom trwałego rozwoju. Możemy więc budować naszą przyszłość w oparciu o intensywny rozwój energetyki ze źródeł odnawialnych, jak radzi np. Greenpeace w raporcie *[R]ewolucja energetyczna dla Polski*, jednocześnie zmniejszając systematycznie udział węgla w gospodarce. Możliwy jest scenariusz, w którym będzie miejsce zarówno dla energetyki odnawialnej, jak i dla węgla wykorzystywanego w sposób czysty, co doradzają eksperci Narodowego Programu Foresight Polska 2020. Niektóre środowiska promują także włączenie do miksu energetyki jądrowej.

Dla każdego z wariantów istnieją w Polsce sprzyjające warunki techniczne. Wybór któregoś z nich pociągnie jednak za sobą istotne konsekwencje dla struktury dalszego rozwoju społeczno-gospodarczego. Wariant Greenpeace oznacza wygaszanie polskiego przemysłu węglowego. Lobby węglowe z kolei przekonuje, że to właśnie węgiel, w połączeniu z inwestycjami w rozwój technologii czystego węgla, może stać się motorem rozwoju, polskim odpowiednikiem fińskiej Nokii. Energetyka jądrowa oznacza centralizację systemu energetyczne-

go, podczas gdy rozwój energetyki odnawialnej sprzyja jego rozproszeniu, co mogłoby mieć korzystne skutki społeczne w kraju o bardzo rozproszonej strukturze rozmieszczenia ludności i dużym udziale ludności wiejskiej.

Nie podejmuję się oceny żadnego z wariantów, bo każdy w sensie technicznym i z punktu widzenia dostępnej w tej chwili wiedzy doprowadzić może do celu strategicznego – zielonej transformacji i przestawienia polskiej gospodarki na tory trwałego ekorozwoju.

Warunki techniczne są warunkami koniecznymi, lecz niewystarczającymi dla powodzenia procesu. Potrzeba jeszcze kilku innych składników. Po pierwsze, czasu. Niestety, pakiet klimatyczno-energetyczny czasu nie daje. Jak wykazuje Dieter Helm, ekonomista z Oxfordu, w konstruowaniu pakietu polityka wygrała ze zdrowym rozsądkiem i rachunkiem ekonomicznym. Wyraża się to m.in. w promowaniu jednej technologii, czyli energetyki odnawialnej, podczas gdy cele polityki klimatycznej można, tak jak w Polsce, osiągnąć w oparciu o różne miksy energetyczne. W rezultacie brak czasu i polityczne wskazanie dla pewnych technologii spowodują alokację zasobów w jeden nurt rozwoju, a zaniedbane zostaną np. prace badawczo-rozwojowe w zakresie technologii czystego węgla.

Efektem końcowym będzie deindustrializacja takich krajów jak Polska, co jednak nie oznacza osiągnięcia obiektywnego celu emisji – globalnego obniżenia emisji dwutlenku węgla. Helm ilustruje ten paradoks przykładem Wielkiej Brytanii, która zmniejszyła emisję dwutlenku węgla w stosunku do roku 1990 o 15%, czym bardzo się chwali. Jeśli jednak policzyć zawartość dwutlenku węgla w produktach, które Brytyjczycy konsumują, a których większość pochodzi z importu, to okaże się, że efektywny wkład Wielkiej Brytanii w emisję dwutlenku węgla wzrósł o 19 %.

Kto będzie liderem ekorozwoju?

Powyższe analizy pokazują, że cele zielonej rewolucji będzie trudno osiągnąć, podobnie jak cele rewolucji socjalistycznej, jeśli forsowane będą one w warunkach swoistego dyktatu. Presja ta wynika z dynamiki politycznej, w której ukrywają się różne interesy aktorów unijnej gry. Racjonalność gry nie zawsze idzie w parze z racjonalnością ekonomiczną i techniczną, a co najgorsze: jest przeciwnie skuteczna, jeśli chodzi o cel główny. Bo jeśli celem tym ma być transformacja gospodarki, to najpierw musi odbyć się transformacja świadomości społecznej, wspomniana wcześniej transformacja ducha kapitalizmu.

Ta transformacja w Polsce dopiero się zaczyna. Ciągłe w dyskursie publicznym dominuje język odziedziczony po okresie neoliberalnym, kiedy to środowisko było czynnikiem zewnętrznym i wprowadzenie go do rachunku ekonomicznego traktowano jako koszt, a nie produktywny składnik kapitału. Próba przyspieszenia zmiany świadomości przez przymus instytucjonalny, polegający *de facto* na narzuceniu rozwiązań nie dość, że w tej chwili dla wielu niezrozumiałych, to jeszcze z przyczyn obiektywnych pod wieloma aspektami wątpliwych, skazana jest na niepowodzenie.

Doskonale ilustruje tę sytuację przykład Stanów Zjednoczonych, przez wiele lat najbardziej konsekwentnego przeciwnika instytucjonalizacji zielonej rewolucji. Jednocześnie jednak wewnątrz amerykańskiego społeczeństwa trwał dynamiczny proces transformacji. To właśnie na skutek tego procesu zaczął zmieniać się amerykański biznes i amerykańska polityka. Barack Obama na finiszu swojej kampanii, 31 października 2008r., zapowiedział w Des Moines, że przeznaczy w ciągu najbliższej dekady 150 miliardów dolarów na rozwój zielonych technologii. Jeśli dotrzyma zapowiedzi i potraktuje obecny kryzys jako sygnał do radykalnych zmian, Stany Zjednoczone przejmą od Europy koszulkę lidera ekorozwoju.

Dlaczego? Przecież to kraje Unii dominują w rozwoju zielonych technologii. To prawda, jeśli mierzyć go liczbą patentów. Stany Zjednoczone dysponują natomiast większym od Europy zasobem ekowiedzy (mierzonym obiektywnie, liczbą publikacji) i przedsiębiorczości, które tylko czekają na mobilizację za sprawą trzeciego czynnika – finansowania, z czym nie powinno być problemu, bo to właśnie panujący duch kapitalizmu niewidzialną ręką kieruje strumieniami kapitału ryzyka. I nic złego, jeśli tak się stanie, przeciwnie – powodzenie procesu wychodzenia z obecnego kryzysu i zarazem powodzenie zielonej globalnej rewolucji w dużej mierze zależą od Stanów Zjednoczonych.

W Polsce podobna transformacja jest możliwa pod warunkiem głębokiej zmiany świadomości społecznej i ujawnienia się elit przywódczych, które pobudzoną energię społeczną byłyby w stanie zamienić w nowe rozwojowe projekty. Pytaniem dziś nie jest już to, czy zielona modernizacja jest możliwa. Innego modelu modernizacji nie ma. Alternatywa to cywilizacyjna zapaść.

Edwin Bendyk – publicysta (tygodnik „Polityka”), pisarz – autor książek *Za-truta studnia. Rzecz o władzy i wolności* i *Antymatrix. Człowiek w labiryncie sieci*, nauczyciel akademicki – wyłada w Collegium Civitas i Centrum Nauk Społecznych PAN. Prowadzi blogi „Antymatrix” (<http://bendyk.blog.polityka.pl/>) oraz „Makroskop” (<http://makroskop.polityka.pl/>). Obecnie pracuje nad książką *Miłość, wojna, rewolucja*. Publikuje także w „Krytyce Politycznej”, „Przeglądzie Politycznym”, „Piktogramie”.

7.

Nie zwalniamy państwa z odpo- wiedzialności

O drodze od Solidarności do NGO
i o tym, co dalej, z **Agnieszką Graff**
rozmawia **Przemysław Sadura**

Przemysław Sadura: *Od jakiegoś czasu można zaobserwować ewolucję twoich poglądów: przejście od feminizmu liberalnego do feminizmu socjalnego. Jednak prowadząc badania zielonego elektoratu zauważyłem, że wyborcom wciąż z trudem przychodzi skojarzenie ze sobą takich kwestii, jak sprawiedliwość społeczna i wolność światopoglądowa. Jak ty połączyłaś te dwie kwestie?*

Agnieszka Graff: Skręt w lewo to w moim przypadku raczej ewolucja wrażliwości niż światopoglądu. Podobnie jak większa część inteligencji humanistycznej w latach 90., nie miałam żadnych poglądów ekonomicznych i – co więcej – uważałam, że nie mam obowiązku ich mieć. Ekonomię traktowaliśmy jako sferę, którą zajmują się eksperci, tacy jak Balcerowicz. My zwracaliśmy się ku literaturze, kulturze, etyce, uważaliśmy się za ludzi o poglądach „liberalnych” i w kwestiach wartości chcieliśmy odebrać monopol światopoglądowy biskupom. Rynek wydawał nam się natomiast przeźroczysty. W moim ówczesnym myśleniu kapitalizm nie stanowił tematu do debaty, ale „normalność”. To pękło kilka lat temu pod wpływem rozmów z Adamem Ostolskim i Kingą Dunin, którzy uświadomili mi luki w moim myśleniu. W czasie jednej z debat w TR Ostolski wygłosił krótkie przemówienie na temat statusu ekspertów i ślepoty ideowej, która powoduje, że sferę ekonomii oddajemy tzw. „ekspertom”, zakładając, że oni nie mają poglądów, tylko wiedzę. Wtedy dotarło do mnie, że zgoda na to, aby nie czytać o pewnych tematach, jest lenistwem intelektualnym. No i zaczęłam czytać, co było tym łatwiejsze, że ukazały się właśnie *No Logo* Klein, *Za grosze* Globalizacja Stiglitz, Ehrenreich, a „Krytyka Polityczna” zaczęła wówczas publikować teksty o ideologicznych funkcjach ekonomii. I tak rozumiałam, że ekonomia to również światopogląd, a nie wiedza. To nie jest tak, że w latach 80. duch zstąpił z nieba i oświecił naszą Ziemię za pomocą prawdziwej, obiektywnej ekonomii. Tu nastąpił raczej desant: czytano i podziwiano amerykańskich neoliberalistów i neokonserwatystów. Ten nurt miał ogromny wpływ na pewną część polskiej inteligencji, zaraził ludzi, którzy tworzyli nową Polskę, kategoriami specyficznie rozumianej ekonomii. Neoliberalizm traktowany jest u nas nie jako teoria, ale jako dogmat, baza dla „normalności”. To efekt naturalnej po doświadczeniach „realnego socjalizmu” alergii na lewicowość,

ale trzeba w tym zobaczyć historyczny proces zamiast prawdy objawionej. Cóż, ten proces właśnie się kończy. Ja nie mam tu żadnych zasług, dziwię się raczej i wstydzę, że tak późno się w tym połamalam.

PS: *Podobną zmianę dostrzegam w przypadku wielu feministek, może poza Magdaleną Środą. Zmieniają się organizacje kobiece, a na Manifach pojawiają się pielęgniarzki, związkowcy...*

AG: Myślę, że kluczowym doświadczeniem dla tego środowiska było Białe Miasteczko. Przynajmniej dla mnie to był przełom. Tu nie chodzi tylko o ogólne inteligenckie przemilczenie kwestii ekonomicznej, ale także o bolesną dziurę w polskim feminizmie. Od dłuższego czasu włókła się za nami medialna opowieść o uprzywilejowanych panach z dobrych domów, które uprawiają feminizm na uczelniach, oraz tak zwanych „normalnych kobietach”, jak pracownice Tesco i „alimenciary”, które nie mają z nim nic wspólnego i którym my nic nie mamy do zaoferowania. „Feministki kontra normalne” to opozycja mityczna i niesprawiedliwa, bo od początku nasz feminizm dotyczył praw kobiet, wykraczał poza uczelnie... ale jakiś gram prawdy w tym był. Bywałyśmy na demonstracjach pielęgniarek, wspierałyśmy walkę o fundusz alimentacyjny. Ale to były indywidualne akcje. Przełom nastąpił dzięki różnym koalicjom powstającym za sprawą Kasi Bratkowskiej, Wandy Nowickiej i Kazi Szczuki. Swój udział mieli tu też „Zieloni” i „Krytyka Polityczna” – silnie obecne w Miasteczku. I jeszcze Fundacja Helsińska, prowadząca w tym okresie kilka spraw, łączących na gruncie prawnym kwestie genderowe i socjalne: sprawy molestowania seksualnego we Frito Lay, wyzysku w Biedronce, sprawę Alicji Tysiąc. Współpracuję z Fundacją i śledząc te sprawy przeżywałam na raty swoisty wstrząs etyczny: uświadamiałam sobie, że dramat tych kobiet nie polega na pozbawieniu ich abstrakcyjnie pojmowanych praw, ale na nędzy, bezradności wobec władzy. I że to jest władza męska, ale osadzona – w przypadku molestowania – w mechanizmach rynku. Perspektywa gender jest tu ważna, ale niewystarczająca.

Wielki wpływ wywarła na nas także lektura książki Osta Kłęska „Solidarność”. Nie całkiem zgadzam się tezę, że Solidarność była ruchem związkowym, który zdradził robotników, przechodząc na stronę neoliberalizmu, bo moim zdaniem „zwią-

kowość” od początku nie była kluczem do tego ruchu – to był zryw narodowy, który z przyczyn historycznych przybrał formę związku zawodowego. Jednak coś jest na rzeczy, bo Solidarność była także związkiem, ruchem ludzi pracy. Ost zobaczył lukę w świadomości opozycyjnych inteligentów mojego i starszego pokolenia. Pokazał, że gniew robotników po 1989 roku był uzasadniony i że ten gniew nieprzypadkowo „zagospodarowali” populiści. To charakterystyczne, że – jak powiedziałaś – Magda Środa nadal myśli jak kiedyś, podczas gdy osobom młodszym łatwiej było zobaczyć najnowszą historię Polski w nowej optyce. Zrozumieliśmy jałowość opozycji „oświeceni modernizatorzy – nieodpowiedzialni populiści”. Bo to nie głupota mas czy nostalgia za komuną, tylko swoista zdrada elit – prześlepienie ekonomicznej warstwy przemian – doprowadziła do zwycięstwa Lepera, Giertycha, Rydyzka.

PS: *Na ile trwały charakter mają to uwiedzenie oraz wynikający z niego mariaż środowisk inteligenckich i grup społecznie zmarginalizowanych?*

AG: Przełom intelektualny jest nieodwracalny. Nie wiem, jak jest z innymi, ale mnie lektura książki Osta całkowicie przemeblowała w głowie. Natomiast mariaż strategiczny to rzecz krucha, choćby dlatego, że wciąż istnieje między nami przepaść kulturowa, językowa, a w jakimś stopniu też ekonomiczna. Możemy mieć podobne poglądy, ale często mówimy na inne tematy i innych tematów się obawiamy. Nie czarujmy się, „feminizm” jest dla kobiet spoza większych ośrodków dziwnym i strasznym słowem. Pielęgniarki boją się „obciachu”, z którym my oswajałyśmy się latami. Dla osoby, która żyje w tradycyjnym środowisku poza Warszawą, decyzja o przyjeździe na Manifę jest bardzo trudna. Tę obawę przed radykalizmem – nawet nie tyle poglądów, co form ekspresji politycznej – widać w trakcie budowania ogólnopolskich koalicji, jak niedawno powstałe Obywatelskie Forum Kobiet. Bywa, że rezygnujemy z „obciachowych” pomysłów, żeby inne kobiety poczuły się dobrze. Joanna Piotrowska ujęła to tak: dziewczyny czekają, czy nie będziemy znowu jakichś brudnych podpasek wysyłać do ministerstwa. Jak widzą, że nie ma podpasek, to wszystko jest OK. Dlatego wielkim sukcesem była wczorajsza impreza w Sejmie, celebrująca historię sufrażystek. Sufrażystki są niekontrowersyjne, bo kto oprócz

Korwina-Mikke powie dziś, że kobieta nie powinna mieć prawa głosu? A jednocześnie są radykalne, bo można je zacytować w taki sposób, żeby obecne władze poczuły się nieswojo. Przyjść do Sejmu – to jest nobilitacja, dreszcz emocji. Sama to poczułam. Dlatego peruki, które odegrały swoją rolę w historii polskiego ruchu feministycznego, zmieniłyśmy wczoraj na piękne kapelusze, w które wpisany jest – oprócz historii – element konwencjonalnej kobiecości. Feminizm z zasady jest rozstaniem się ze stereotypem tradycyjnej kobiecości. Ale patriarchat karze za to kobiety; z tym się wiązą realne koszty. Trudno porzucić własny wizerunek „normalnej” bez wsparcia, jakim dysponuje warszawskie środowisko intelektualne. Co nie znaczy, że poza Warszawą nie ma radykalnych feministek. Są – i mam wrażenie, że są bardziej od nas niezłomne, bo ponoszą większe ryzyko. Ale staramy się też budować koalicję z tymi, które chcą równości, ale boją się feminizmu. Zbliżamy się do siebie powoli i nieufnie. My zaczynamy mieć poglądy na tematy ekonomiczne, a one zaczynają mieć poglądy feministyczne. Przy tym nie zakładamy już, jak kiedyś, że brak poglądów feministycznych to „fałszywa świadomość”, uczymy się szacunku dla różnic między nami.

PS: Wspomniałaś o budowaniu koalicji ogólnopolskich. Jak oceniasz dotychczasową i przyszłą rolę organizacji kobiecych i feministycznych w rozbudowie ruchu łączącego tak różne środowiska?

AG: Mam szerszą refleksję dotyczącą organizacji pozarządowych i ich umiejscowienia w systemie. Organizacje takie jak Ośka, Centrum Praw Kobiet, eFKa, a w ostatnich latach bardzo prężna Feminoteka wykonały olbrzymią i potrzebną pracę. Jednocześnie myślę sobie, że robiąc pewne rzeczy tak dobrze, kobiety zwolniły państwo z odpowiedzialności za sferę socjalną. Wydawało się nam, że wywieramy nacisk na państwo i zmuszamy je do zwrócenia uwagi np. na problem przemocy wobec kobiet czy potrzebę edukacji seksualnej w szkołach. W ostatnich latach uświadamiam sobie jednak coraz bardziej, że daliśmy państwu alibi, pozwalając nie zajmować się sferą społeczną. Nie jest to tylko moja diagnoza, bo istnieje obszerna literatura na temat tak zwanej „NGOizacji” ruchu kobiecego i ruchów społecznych w ogóle. NGOizacja polega

najogólniej na tym, że zamiast ruchów społecznych powstają profesjonalne instytucje od załatwiania różnych bolesnych spraw, a państwo ceduje na nie sferę społeczną. NGOsy, zajmując się łataniem dziur, które zostawił po sobie neoliberalizm, wpadają w spiralę depolityzacji. Im bardziej zajmujemy się łataniem i załatwianiem grantów na to łatanie, tym mniej mamy czasu i energii na działalność lobbującą i zmienianie rzeczywistości. Niektórzy twierdzą, że feminizm poddał się temu mniej niż inne typy NGOsów, bo z natury jest polityczny, ale feminizmu dotyczy to także. Poza tym to nie jest przypadek, że sfera NGO jest tak silnie sfeminizowana. Działaczki – także, ale nie tylko feministki – weszły tu w tradycyjną kobiecą rolę: opiekunek, sprzątaczek, osób odpowiedzialnych, gdy inni rozrabiają. Rynek pewne sprawy zabałaganiał, zostawił ludzi na pastwę losu... a kobiety z NGOsów krzątały się, pomagały, łatały dziury.

PS: *W czym upatrujesz genezy tego zjawiska?*

AG: Moim zdaniem kluczowe znaczenie miało pojęcie „społeczeństwa obywatelskiego”. Osoby urodzone pod koniec lat 60. dorastały, czytając teksty Michnika, Havla, Kola-kowskiego, w których pojawiła się piękna wizja odpolitycznionego idealizmu dysydenckiego: obalimy komunizm, zachowując czystość, szlachetność. Zbudujemy nowy język, będziemy mówić prawdę wbrew komunistycznej nowomowie. Nikt nam wtedy nie mówił, że warto mieć poglądy polityczne, wystarczyło być przeciw komunie. Byliśmy przekonani, że ludzie inteligencji nie mają zajmować się polityką, tylko mają być po stronie prawdy i demokracji, to znaczy tworzyć społeczeństwo obywatelskie. Niedawno rozmawiałam z Barbarą Einhorn, brytyjską socjolożką, która o feminizmie i kategorii obywatelskości we Wschodniej Europie napisała książkę. Zacytowała mi zdanie węgierskiego aktywisty organizacji pozarządowych: „Myśleliśmy, że budujemy społeczeństwo obywatelskie, a wszystko, co stworzyliśmy, to NGOsy”. Otóż ja to samo zdanie słyszałam wcześniej od polskich feministek. To zdanie krąży, bo mówi coś ważnego. Chcieliśmy zbudować piękny nowy świat, a stworzyliśmy sieć małych fundacji, które w dodatku są najczęściej w konflikcie ze sobą, ponieważ konkurują o te same niewielkie fundusze.

Czasem dyskutujemy między sobą, dlaczego kobiece organizacje są ze sobą tak bardzo skłócone: czy to kwestia kobiecej skłonności do konfliktu, wewnętrzna

cecha feminizmu? Otóż nie – to jest immanentna cecha NGOśców, wynik systemu, w którym przyszło im funkcjonować. W ich interesie leży zmonopolizowanie jakiegoś tematu i pilnowanie granic, a nie współpraca. Na prawa reprodukcyjne kobiet daje jedna organizacja zachodnia, a na ofiary przemocy organizacja inna. Jak nam dali na projekt x, to wam już nie dadzą na podobny. To uniemożliwia tworzenie realnych koalicji wokół bieżących, pilnych spraw. Politycznie jest jasne: trzeba zrobić manifestację. Ale kto ma ją zrobić, skoro wszystkie organizacje są akurat zajęte pisanie wniosków o granty albo realizacją projektu na inny temat, albo sprawozdawaniem. A przecież tam właśnie pracują te polskie feministki! Pamiętam, jak pracownice pewnej feministycznej fundacji robiły transparenty na Manifę po godzinach urzędowania albo wysyłały manifowe faksy do prasy z poczuciem, że kradną czas właściwej pracy. Może jestem naiwna, ale uważam, że ich biuro powinno być sztabem głównym Manify. A zamiast fundacji, w której bywam, powinna istnieć organizacja, do której należą... Gdyby nasze prababki sufrażystki tak działały, do dziś nie miałybyśmy prawa głosu. NGOizacja to ogromne marnowanie energii naszego pokolenia.

PS: *Przypomina mi się warsztat dla polskich pracowników socjalnych, który kiedyś prowadziłem. Szokiem dla uczestników była informacja, że skandynawscy pracownicy socjalni działają w związkach zawodowych, które nie tylko bronią ich praw pracowniczych, ale także reprezentują polityczne interesy ich klientów. W Polsce pracownik socjalny – rządowy lub pozarządowy – zajmuje się rozwiązywaniem życiowych problemów swoich podopiecznych, a nie reprezentowaniem ich.*

AG: Dziwny się też wydaje pomysł, że NGO jest odpowiedzialny wobec swoich pracowników jako pracodawca i że ci pracownicy mogą się zbuntować. Tymczasem znam wiele osób, które uciekły z NGOśców, ponieważ one są notorycznie złymi pracodawcami. Zakłada się w nich – inaczej niż w biznesie – że pracownik to działacz, szlachetny zmieniać świata i rozdawca dóbr. Ta wizja niesie ze sobą możliwość nadużyć wobec pracowników i klientów. I sprawa, o której mówisz: czy traktujemy odbiorców tych dóbr jako podmioty polityczne? Nie przychodzi nam do głowy, że my powinniśmy być przez te osoby wybierani. Że tu chodzi o reprezentację, a nie dzia-

talność charytatywną. Zachwycamy się demokratyczną strukturą pierwszej Solidarności, a gdzie jest demokratyczna struktura społeczeństwa obywatelskiego? NGOsy są fundacjami, które przez wiele lat mają te same rady, wciąż kierują nim te same osoby. Traktują je, jakby były ich własnością, jakby były prywatnymi firmami. Głęboko te osoby cenię i szanuję, ale ta struktura jest głęboko nieprzejrzysta i frustrująca. NGOsy to jest mały osobny światek – tu nie ma drogi rozwoju, ciągu dalszego. Dlatego po kilku, kilkunastu latach ludzie się wypalają, zamiast zmieniać świat.

PS: *Wskazujesz na lęk przed upolitycznieniem...*

AG: To nie jest lęk. To jest idealizacja antypolityczności. Wczoraj Kazia Szczuka powiedziała, że niesamowite jest, że jesteśmy w Sejmie, a nie pod Sejmem. Ale jeszcze kilka lat temu my się czułyśmy dużo lepiej pod Sejmem. Pomysł, żeby wejść do środka, wydawał nam się mało trendy.

PS: *To może nadszedł już czas, by postawić na budowanie partii politycznej lub wejście do którejś z istniejących?*

AG: W Polsce istnieje potężna bariera, jeśli chodzi o budowanie partii politycznych. Rozbiły się o nią Zieloni 2004 i Partia Kobiet. Ich powstanie było próbą przebicia się przez mur. Gretkowska wielokrotnie mówiła, że ma dosyć stania pod Sejmem. Nie będę udawała, że to nie miało na mnie wpływu. Czytając wywiady z nią, zżymałam się na jej konformizm w kwestii prawa do aborcji, jednak co do jałowego stania pod Sejmem, to dała mi do myślenia. I to ona pociągnęła za sobą tysiące kobiet. Nie udało się, więc być może partia nie jest tą właściwą formułą. Ale na pewno nie są nią też odrębne, pozamykane w swoich biurach NGOsy.

PS: *Jeśli odrzucimy formułę organizacji pozarządowej i partii politycznej, co nam zostanie w roli instytucjonalnej podstawy sojuszu między „zwykłymi kobietami” i „kobietami z mediów”?*

AG: Nie widzę całościowych rozwiązań. Widzę tu przede wszystkim strategię koalicyjne. Tymczasowe, a jak się da – trwalsze ramy współpracy. Zaangażowałam się w Oby-

watelskie Forum Kobiet – widzę w nim istotną nadzieję dla polskiego feminizmu. Forum umożliwia łączenie wysiłku kobiet zaangażowanych w partie polityczne, organizacje pozarządowe, związki zawodowe, i jest kilka wolnych elektronów – kobiet związanych z uczelniami. Feminoteka pełni funkcję magnesu: nie tyle organizuje, co umożliwia członkiniom Forum stworzenie własnej organizacji. Każda z nas ma poczucie sprawstwa; np. imprezę w Sejmie wymyśliła i koordynowała Małgorzata Tkacz-Janik, Zielona i feministka ze Śląska. Grupa ma długofalowy program jednoczenia się wokół różnych postulatów – a dla mnie jest kluczowe, że nie boimy się tych, które mają wymiar polityczny. W Sejmie najbardziej było widać kapelusze, ale przecież chodziło właśnie o polityczność sprawy kobiecej – o to, że jako kobiety mamy swoją historię i jest to historia polityczna. Prof. Małgorzata Fuszara, a potem były pełnomocniczki pięknie o tym mówiły.

Co do innych form niż partie i NGOsy, to jako osoba zafascynowana amerykańskim feminizmem i historią walki o prawa obywatelskie Afroamerykanów, promuję wizję organizacji członkowskich. Demokracja i postęp w prawach mniejszości w USA nie opierają się na drobnych fundacjach, lecz na gigantach, jak National Association for the Advancement of Colored People (NAACP) lub National Organization for Women (NOW). To wielkie organizacje z setkami tysięcy członków, budżetami opartymi na składkach, lobbujące, wprowadzające ludzi do parlamentu, i – istotne – wewnętrznie demokratyczne. NGOsy często narzekają na brak aktywności obywatelskiej, ale trzeba też pamiętać, że przeciętny człowiek uczestniczy w aktywności politycznej, wypisując czek lub wysyłając e-mail, a nie walcząc na barykadach. W Polsce brakuje możliwości, by na chwilę włączyć się w obywatelskie działanie, a właśnie poprzez te drobne działania i związane z nim poczucie przynależności buduje się upolitycznione społeczeństwo obywatelskie. Obecne NGOsy nie mają połączenia ze społeczeństwem, bo obywatel występuje wobec NGO w roli petenta. Nie mają połączenia również z systemem politycznym, na który teoretycznie mają wywierać wpływ, bo brakuje im siły politycznej, jaką oferuje reprezentacja. To jest błędne koło, z którego trzeba się jakoś wyrwać.

PS: Wydaje mi się, że organizacje członkowskie to na pewno krok w stronę profesjonalizacji ruchów społecznych, ale już niekoniecznie w stronę demokracji uczestniczącej.

AG: Polemizowałabym. Profesjonalne nie necessarily znaczy niedemokratyczne, a członkostwo w czymś dużym daje poczucie uczestnictwa. Trzeba też pamiętać o specyfice naszej historii: w Europie Wschodniej nastąpiło przejście od dysydenckiej demokracji uczestniczącej za komuny do fasadowego społeczeństwa obywatelskiego po 1989 roku. Tymczasem demokracja uczestnicząca powinna towarzyszyć demokracji parlamentarnej, a nie zostać przez nią zastąpiona – to nie jest tak, że politykę zostawia się po wyborach politykom. Demokracja uczestnicząca, tak jak ją rozumiała w latach 60. Nowa Lewica, była też silnie nasycona ideologią. Tymczasem w naszej części świata społeczeństwo obywatelskie bardziej niż kategorią poglądów politycznych i interesów grupowych posługuje się kategoriami „służby”, „idealizmu” oraz „dobrego smaku”. W polskim społeczeństwie obywatelskim wciąż silny jest wstręt wobec lewicy, bo to pachnie Marksem i Leninem. To nie do przyjęcia dla ludzi urodzonych w PRL-u. Przez tę apolityczność przyczyniamy się do gładkiego funkcjonowania systemu: ekonomię zostawiliśmy neo-liberalnym ekspertom, wartości biskupom, lewicowość postkomunistom, a idealizm NGOsom. I powstała przepaść między tym, czego potrzebuje nasz potencjalny elektorat, a tym, co my możemy mu zaoferować. Musimy to na nowo przemyśleć. Być może moje pokolenie jest już dla rewolucji stracone, ale wasze niekoniecznie.

PS: *Dziękuję.*

Agnieszka Graff – anglistka, feministka. Współzałożycielka Porozumienia Kobiet 8 Marca. Członkini zespołu „Krytyki Politycznej”. Stypendystka Fundacji Fulbrighta. Teksty naukowe oraz publicystyczne ogłaszała m.in. w „Krytyce Politycznej”, „Feminist Studies”, „Res Publice Nowej”, „Kulturze i Społeczeństwie”, „Ośce”, „Zadrze”, „Gazecie Wyborczej”, „Rzeczpospolitej”. Pracuje w Ośrodku Studiów Amerykańskich UW i wykłada na warszawskich studiach podyplomowych Gender Studies. Jej książka *Świat bez kobiet* (2001) to jedna z najważniejszych pozycji w polskiej literaturze feministycznej. Analizuje mechanizmy stopniowego wykluczania kobiecego głosu ze sfery publicznej w warunkach ustrojowej transformacji. W kolejnej książce, *Rykoszetem* (2008), przygląda się związkowi między polskim nacjonalizmem a kulturową konstrukcją płci.

8.

Zieloni bez ekologii?

O przyszłości, żabach i ludziach...

z **Jackiem Żakowskim**

rozmawia **Przemysław Sadura**

Przemysław Sadura: *Od lat 70., a na pewno od połowy lat 80., partie Zielonych są stałym elementem zachodnioeuropejskiej sceny politycznej. Ostatnio Zieloni weszli do struktur władzy w kilku nowych krajach UE. Dlaczego w Polsce wciąż funkcjonują na marginesie życia politycznego?*

Jacek Żakowski: Przyczyn oczywiście jest wiele, ale najważniejsza z nich to słabość przywództwa. Do powstania ruchu politycznego potrzeba swego rodzaju charyzmatu, a w Polsce nie ma charyzmatycznej osobowości, która mogłaby stać się symbolem tej partii. Spójrzmy na Niemcy – Joschka Fischer nie stał nigdy na czele tamtejszych Zielonych, ale jest symbolem partii.

PS: *Przeszkodą nie jest więc brak potencjalnego elektoratu?*

JŻ: Zależy, jak zdefiniujemy „zieloność”. Jeżeli nie będziemy jej ograniczać do ochrony żab i drzew, lecz potraktujemy szeroko, jako szukanie harmonii między cywilizacją i naturą, utrzymywanie równowagi między pracą i domem, wspieranie wartości innych niż konsumpcyjne, to popyt będzie bardzo duży. Nie brak ludzi, którzy poprą wizję społeczeństwa opartego na spójności społecznej, równości ról i możliwości. Problem polega na tym, że Zieloni w Polsce skojarzyli się z żabami. Jest taka reklama, w której krowy stają na drodze i przepuszczają ślimaka. To właśnie robią Zieloni: uczą krowy ustępować ślimakowi. To jest ślepa uliczka – nie można wygrać wyborów w obrocie ślimaków. Można wygrać wybory w obronie świata i życia. Ten stereotyp już się utrwalił i trudno go zmienić, jednak widzę gwałtowną potrzebę takiej zmiany. W Polsce istnieje duża grupa osób myślących o „zieloności” w sposób holistyczny, która albo nie brała udziału w wyborach, albo szukała oparcia w SLD, a wcześniej w Unii Wolności. Potrzeba jednak przywództwa zdolnego zarysować wizję wyraźnie konkurencyjną wobec tradycyjnej lewicy klasowej z hutnikami i górnikami, wobec konserwatywnej prawicy w stylu PiS i liberałów z Platformy. To jest wielka operacja, która wymaga szerokiej mobilizacji i specyficznego pojmowania „zieloności”, którego na razie Polacy nie znają. Taka formacja mogłaby zastąpić dogorywające SLD.

PS: *Taka partia jednak – jak każdy, kto chciałby praktycznie zaangażować się w życie polityczne w Polsce – stanie przed trudnym zadaniem. Kartelizacja systemu partyjnego nie ułatwia wprowadzania na scenę polityczną nowych podmiotów, o czym niedawno przekonała się na przykład Partia Kobiet. Jak ocenia Pan szanse na przełamanie monopolu PO-PiS-u w polityce?*

JŻ: Partii Kobiet zaszkodziło raczej to, że była częścią kampanii promującej książkę jednej z pisarek, a nie kartelizacja systemu partyjnego. Jak wyobrażam sobie ewolucję sceny politycznej? Spodziewam się postępującej marginalizacji PiS-u, który jest na takiej zjeżdżalni, jak wcześniej Samoobrona. Z tym, że Samoobrona stawiała się coraz bardziej salonowa, a PiS się radykalizuje w sensie anarchicznym. Im gorzej im idzie, tym bardziej się anarchizują, im bardziej się anarchizują, tym bardziej zjeżdżają. To ich zepchnie na dno, czyli do poziomu 7-10 % głosów. SLD nie ma potencjału. Głośne ostatnio wyniki badań partyjnego aktywu potwierdziły to, co od dawna wydawało się oczywiste: to jest partia prawicowych postkomunistów, która nie ma oferty dla nikogo poza postkomunistami. Dlatego *de facto* mamy system jednopartyjny, a nie dwubiegunowy. Są dwie teorie dotyczące dalszego rozwoju wypadków. Jedna mówi, że system jednopartyjny będzie się utrwał, a Platforma wygra wybory prezydenckie i będzie zdobywała 48-55 % głosów. Moim zdaniem to jest niemożliwe. Wcześniej czy później zaczną się różnego rodzaju procesy erozyjne, dezintegracyjne, jak w każdej monopartii. Wyjątek stanowiła CSU, ale właśnie dlatego była fenomenem globalnym. Tak więc gdyby zrobić rynkową analizę i zapytać, czy jest miejsce na „zielony produkt”, wydaje mi się, że odpowiedź brzmiałaby: tak.

PS: *To wyborcy Platformy Obywatelskiej mają kupić ten produkt?*

JŻ: Duża część wyborców Platformy głosowała na nią jako na antyPiS. To mogło mieć znaczenie w jednych wyborach, ale wraz ze słabnięciem PiS-u waga tego czynnika będzie maleć. Gdyby wybory odbyły się dziś, frekwencja byłaby niższa o jakieś 10 punktów procentowych. Ci, którzy nie wzięliby udziału w wyborach, to potencjalny elektorat nowej, zielonej, lewicowej lub nowolewicowej

formacji. Tylko że w tym miejscu napotykamy na blokadę w postaci różnych elementów programowych, takich jak stosunek do elektrowni jądrowych. Myślę, że trudno byłoby wśród tej grupy wyborców znaleźć poparcie dla partii przeciwnej elektrowniom.

PS: *Wygląda na to, że Jacek Żakowski bez badań wiedział to, do czego my doszliśmy po kilku miesiącach pracy w terenie. Zanim zmienię zawód, jeszcze jedna kwestia: mamy problem, bo od aktywu SLD polskich Zielonych odróżnia bardzo duża ideowość. Cały ruch stanie przed dylematem: jak daleko wolno mu odejść od swoich dotychczasowych postulatów w imię zwiększenia własnego wpływu na polską politykę.*

JŻ: To jest napięcie, które – sięgając po terminologię z innej epoki – istnieje zawsze w fazie przejścia między partią kadrową i partią masową. Znowu wszystko zależy od tego, jak się rozumie „zieloność”. Dla mnie jej elementem jest racjonalność, której nie da się pogodzić z doktrynalną wrogością wobec elektrowni atomowych. Zwłaszcza w obliczu tego, co wiemy o szkodliwości innych źródeł energii. Jeżeli chce się zajmować poważne miejsce na scenie politycznej, nie można ograniczać się do dawania wyrazu swoim poglądom. Trzeba uwzględnić inne czynniki, nawet niekoniecznie koniunkturalne. To może być poczucie odpowiedzialności. Trudno byłoby mnie dziś przekonać, że elektrownie jądrowe są bardziej szkodliwe niż te na węgiel brunatny.

PS: *A jak Pan ocenia zauważalne od pewnego czasu zjawisko, polegające na tym, że część „zielonych” postulatów jest przejmowana przez media i polityków partii mainstreamowych, często niezwiązanych z lewicą? Nawet jeśli nie jest to proces pogłębiony i dotyczy na przykład segregacji śmieci, to jednak ma miejsce. Na ile te działania wspierają rozwój „zielonego” myślenia w społeczeństwie, a na ile stanowią zagrożenie dla zielonych polityków?*

JŻ: Mamy do czynienia z jednym i z drugim. Z jednej strony prawica ukradła lewicy dużą część programu. To taka wredna zemsta za to, co się stało w czasach Tony’ego Blaira i Billa Clintona, kiedy to lewica ukradła program prawicy.

Jednym słowem rewanż. Większość haseł lewicowych i zielonych – poza sferą ekonomiczną – zostało przyswojonych przez prawicę.

PS: Teraz mówi Pan o zagranicy i nowej prawicowości w stylu Sarkozy'ego.

JŻ: Ale też o Polsce. Żaby raczej nie, ale już ekologiczne rolnictwo jest jednym z elementów programu PSL i jego wizji Polski. Na Zachodzie oczywiście ten proces poszedł dużo dalej niż u nas. Jednak nawet w Polsce, jeśli spojrzymy z perspektywy równościowej, pierwszą kobietą na stanowisku premiera była konserwatywno-liberalna Hanna Suchocka. Jednak to przychodzi z UE. Wspomniał Pan o segregacji śmieci – to ważne. Dziś, jak ma Pan mały prywatny domek, to nie sposób obejść obowiązku segregowania odpadów. Przychodzi strażnik, który może Panu wręczyć mandat, i to jest ekologiczny terror. W żadnej innej sprawie nie przyszedł urzędnik państwowy, a w tej tak. W tym sensie Zielonym trudno jest dzisiaj domagać się segregowania śmieci, gdy staje się ono formą opresji państwowej. W ten sposób Zieloni stają się ofiarami swojego własnego sukcesu, bo ekologicznych represji jest coraz więcej. Inaczej niż w Niemczech, gdzie świadomość ekologiczna jest bardzo duża, w Polsce ochrona środowiska nie jest dobrze ugruntowana w świadomości i postrzega się ją jako nowy rodzaj opresji.

PS: A Polacy nie lubią przymusu.

JŻ: Tak. Z ekologią jest jak z socjalizmem. Gdyby PRL powstał w wyniku rewolucji klasowej, to byłby systemem akceptowanym społecznie, a może nawet by się udał. Tego nie wiemy. Ale przyjechał na rosyjskich bagnietach. Ekologia jest rygorystycznie narzucana Brukseli, a później Warszawie. I rodzi się sprzeciw. Co to jest, żeby strażnik przychodził i do śmietnika mi zaglądał? Odkładał baterie, ale po dobroci. Jeśli kiedyś, żeby kupić baterię, trzeba będzie oddać inną – jak było w PRL-u z akumulatorami – to pojawi się złość. Sukces Zielonych przemawia też przeciwko nim, bo ich idee są wdrażane przy pomocy przymusu państwowego. Tym ważniejsze wydaje mi się pokazanie miejsca symbolicznego

pojemnika na zużyte baterie w holistycznej wizji świata. To wymaga charyzmatycznego lidera, który przełoży te treści na idee społeczne, zmobilizuje ludzi. W Ameryce takim człowiekiem był Al Gore.

PS: *To już brzmi lepiej, bo przez moment miałem obawy, że usłyszę: tego się nie da zrobić, jeśli się nie przejdzie przez Maj '68 i spontaniczną, oddolną, zieloną rewolucję.*

JŻ: Nie. Wydaje mi się, że to jest kwestia silnego, inteligentnego, perswazyjnego przywództwa. Nie ma w Polsce żadnego pisarza, publicysty czy dziennikarza, który z tej perspektywy opisywałby świat. Zawsze są żabki, śmieci, CO₂. Przecież nie chodzi o CO₂.¹ Dla Niemców to jest zupełnie oczywiste i oni z tych samych przyczyn protestują przeciwko wydłużaniu godzin pracy i wyniszczaniu żab. Tylko Polakom się to nie skleja.

PS: *A kiedy już się ten lider pojawi, to porwie za sobą tłumy i młodzież? W kilku ostatnich swoich tekstach wyrażał Pan duże nadzieje związane z młodym pokoleniem Polek i Polaków. Pisał Pan o jego rosnącym zaangażowaniu społecznym i politycznym. Nasze badania wskazywały na coś innego. Jak więc jest z młodzieżą? Zaangażuje się politycznie, jak młode pokolenie Amerykanów w ostatnich wyborach?*

JŻ: Moim zdaniem tak. Tylko trzeba spełnić kilka warunków. Dlaczego Zieloni i „Krytyka Polityczna” nie są w stanie stworzyć jednego frontu? Bez tego zmiana się nie uda. Obama potrafił połączyć aspiracje różnych grup Amerykanów, negatywnie odnoszących się do neoliberalnego i neokonserwatywnego stylu myślenia. Dlaczego feministki przyjaźnią się z Zielonymi, a jednocześnie powstaje Partia Kobiet, która jest konkurencyjna wobec Zielonych? Moim zdaniem wynika to z tego, że Zieloni w Polsce są ciągle postrzegani – i sami tak siebie postrzegają – jako partia ekologiczna w tradycyjnym sensie tego słowa. Brakuje ekologii społecznej. To jest pułapka. Takie podejście może mieć sens w Niemczech, ale tam wrażliwość ekologiczna jest na innym poziomie. W Polsce to nie mobilizuje, bo jest postrzegane jako dziwactwo. Zieloni tylko żaby widzą. Pa-

mięta rozmowę jednego w wybitnych polityków Solidarności z Waldemarem Pawlakiem, w której tłumaczył tamtemu: „Bo dla nas ważni są ludzie, a dla was tylko krowy, konie...”. Trochę tak było z PSL-em na początku, że dla niego istniały gospodarstwa rolne i nic więcej. Jednak Pawlakowi udało się przebudować partię. Dzisiaj PSL ma pogląd na giełdę, na stopy procentowe, na funkcjonowanie banków. Czy partia Zielonych ma pogląd na to, jak powinna działać giełda? Jakim regulacjom powinna być poddana? Albo nie ma, albo nie jest on słyszalny. Gdyby ta partia wysuwała pomysł urlopów tacierzyńskich i jednocześnie zajmowała się ochroną żab, przyjęłaby zieloną wizję rzeczywistości w szerszym sensie. Jeżeli Zieloni oderwą się trochę od środowiska naturalnego, może to zamienić ich partię w ważną formację, dominującą na nowej lewicy.

PS: *Skończymy optymistycznie. Dziękuję za rozmowę.*

Jacek Żakowski – dziennikarz i publicysta. Obecnie związany z tygodnikiem „Polityka”. Był rzecznikiem prasowym Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, jednym z założycieli „Gazety Wyborczej” oraz pierwszym prezesem Polskiej Agencji Informacyjnej. Laureat licznych nagród: Polskiego PEN Clubu im. Ksawerego Pruszyńskiego (1988), Dziennikarza Roku (1997), dwóch Wiktorów (1997). Twórca i prowadzący wielu znanych programów telewizyjnych. Kierownik Katedry Dziennikarstwa Collegium Civitas w Warszawie.

Fundacja im. Heinricha Bölla
Przedstawicielstwo w Polsce
ul. Żurawia 45, 00-680 Warszawa, Polska
tel.: +48 22 59 42 333, e-mail: hbs@boell.pl